CZYTANIA

PRZYJEMNE.

Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

CZYTANIA
PRZYJEMNE.

PISMO DODATKOWE

DO

Muzeum Domowego.

PRZEZ

F. S. DMOCHOWSKIEGO.

TOM III.



WARSZAWA,

W KSIĘGARNI F. S. DMOCHOWSKIEGO
PRZY ULICY MIODOWEJ.

W DRUKARNI MAXYMILIANA CHMIELEWSKIEGO.

1838.

Czytania Przyjemne

DWA TYGODNIE Z ŻYCIA PIOTRA KORNELA.

I.

SPOTKANIE.

Za czasów Ludwika XIII, nie było w Paryżu wytwornych restauracyi i kawiarni, wszyscy bez wyjątku uczęszczali do gospód i szynków. Do jednéj z takich gospód oznaczonéj szyldem *Trzech Łyżek*, wszedł młody człowiek, dosyć szczupło zaopatrzony w pieniądze, mający około ośmnastu lat, cienki i blady. Gruba jego laska i tło-

moczek przywiązany na plecach, buty i pantalony pełne błota i kurzawy, oznaczały iż odbył długą podróż piechotą. Nie oswojony ze zwyczajnem obchodzeniem się w gospodach, zajrzał do izby, a po kilku chwilach wahania, uzbroił się w odwagę, wszedł prędko i usiadł przy kominie, z którego rozchodziło się po zadymionej sali, ciężkie i duszące ciepło.

Tylko co spoczął na drewnianej ławce, karczmarka zapytała się z pośpiechem, czego żąda.

—»Chleba, séra i wina, odpowiedział młodzieniec.

Na ten skromny obstalunek parsknął śmiechem jakiś człowiek siedzący w najciemniejszym kącie szynkowni. Młodzieniec zmarszczył brwi, usiłował dostrzedz kto śmieje się tak zuchwale i położył kij tuż przy sobie.

Lecz wkrótce zapomniał o gniewie i zaczął zajadać z apetytem, gdy dru-

gi młodzieniec prawie w jego wieku, wszedł do karczmy śmiałym krokiem.

—»Hola! hej! zawołał uderzając kijem w stół. Hej! gospodyni! dajcie jeść!

Karczmarka przybiegła, pewna że zamówi znaczną i kosztowną biesiadę.

—»Czémże pan każesz sobie służyć? zapytała się jak mogła najuprzejmiéj.

—»A cóż masz? odpowiedział, poprawiając czarne włosy.

—»Wszystko co się panu podoba, a najprzód przewyborną potrawkę z królika.

—»W Paryżu króliki są za bardzo podobne do kotów. Zobaczmy co innego.

—»To może pan zjé porcyą wybornych flaków, które od świtu gotują się?

—»Nie chcę flaków; są to może reszty wczorajszego lub onegdajszego śniadania; dziś jest post i dla tego częstujecie gości mięsem, żeby go robaki nie zjadły.

—»I czegóż pan chcesz? proszę mi nie zabierać czasu: przerwała gospodyni gniewnym tonem.

Młody człowiek założył uroczyście lewą nogę na prawą, oparł łokieć na stole, pochylił w tył głowę i rzekł z żartobliwą nadętością:

—»Wina, séra i chleba.

Głośne parsknięcie o które o mało nie rozgniewał się piérwszy młodzieniec, znowu rozległo się i przedłużyło tak dalece, że ten co był jego przyczyną, obraził się nareście.

—»Hola! mości panie! zawołał postępując ku śmieszkowi, czy zechcesz mi powiedzieć co cię tak bawi?

—»Dalibóg: odpowiedział mężczyzna z zaczerwienioną twarzą i już nie źle podpiły: oto skromny obstalunek waszego śniadania; i to mówiąc przeciągnął się i pokazał od niechcenia swoje szerokie ramiona i żylaste pięści.

—»I nie zacznę. Ty mój młody zuchu, podaj mi rękę i siadaj przy mnie.

Mimo tego zamiłowania w chlebie i sérze, mimo postu któren chcesz zachowywać, sądzę iż chętnie spotkasz się z tą łopatką baraniny, na któréj mógłby jeszcze najeść się kto trzeci z lepszym nawet apetytem. Jeźli ten młody kawaler co tam siedzi przy tobie i podziela twoje upodobanie w chlebie i sérze, zechce nam towarzyszyć, wypijemy wszyscy razem za pomyślne wasze przybycie do Paryża. Spodziewam się tém bardziéj iż mi nie odmówi, gdyż poznałem z jego wymawiania, że jest Flamandczykiem, moim współziomkiem.

Przydał kilka wyrazów po flamandzku, a młodzi ludzie wstali i usiedli przy swoim amfitryonie. W rzeczy saméj, trudno byłoby oprzéć się zaproszeniu tego człowieka, którego fizyonomia tchnęła miłą dobrotliwością. Siedząc między dwoma nowemi przyjaciołmi, nalał im pełne kieliszki, nie zapomniał o sobie i zaśpiéwał flamandzką balladę.

Młody jego towarzysz nie mógł jéj słuchać bez wzruszenia i sam nareście śpiéwać zaczął. Wkrótce nawet, uwiedziony przykładem swego towarzysza, zanucił drugą balladę, zaczynającą się od tych wyrazów:

Na co mądrość zda się nam!
Pijmy póki służy pora.
Jedno tylko dobre znam,
Pić od rana do wieczora.

Lecz tylko co zaśpiéwał piérwsze wyrazy téj pieśni, ich amfitryon zbladł, postawił szklankę na stole i zalał się łzami.

—»Milczcie! zawołał; milczcie na Boga! Milczcie, gdyż mi rozdzieracie serce: przypominacie mi że byłem nikczemnikiem i niegodziwym człowiekiem; że z mojéj przyczyny umarła ze zgryzoty biédna moja żona, anioł, która dla mnie gotowa była wszystko poświęcić. Nędzny! niewdzięczny! Tak jest, moi przyjaciele, miałem żonę która mię kochała, która mię otoczyła porząd-

kiem i szczęściem, która mię szanowała i czyniła szanownym. Pewnego dnia porzuciłem ją, żeby puścić się na włóczęgę, żeby znowu bydź hultajem, żeby znowu tarzać się w błocie. Nie pracując i pijąc od rana do wieczora, straciłem wszystko, zaciągnąłem długi, a za długi dostałem się do więzienia. Ach! niechaj Bóg was zachowa od takiéj doli, gdyż w więzieniu znajdziecie nędzników którzy poddają najgorsze rady. Za ich namową napisałem do mojéj żony, do mojéj biednéj Klary, że jestem konający i że błagam ją o przebaczenie nim stanę przed sądem Boga. Powiódł mi się ten ohydny postęp. Dobra Klara przedała wszystko na zapłacenie moich długów, odbyła pieszo daleką podróż, a gdy ta wspaniałomyślna ofiara przywiązania, przyszła do drzwi mego więzienia, usłyszała żem śpiéwał z innemi pijakami tę zwrotkę, którą zanuciliście przed chwilą. Niestety! był to dla niéj cios śmier-

telny. Nie mogła znieść téj ostatniéj mojéj zdrady i umarła z rozpaczy. Od owego czasu, wydobywszy się z więzienia, błąkałem się na los, spoczynku nie mając prawie. Gdy mię głód przyciśnie, maluję wtedy, lecz to co robię jest niegodne mnie, mnie, który byłem sławnym artystą.

—»A jak się nazywasz? zapytali się dwaj zdziwieni młodzieńcy.

—»Moje nazwisko? moje istotne nazwisko? nie powiadam go nikomu. Sądzą żem umarł i chcę żeby miano mię za umarłego. Obrazy które teraz maluję, nie są oznaczone mojém nazwiskiem, gdyż robię je tylko dla dostania kilku talarów. Gdy je dostanę, trwonię na jedzenie i picie, zwłaszcza na picie, gdyż picie sprowadza odurzenie i niepamięć. A dobrze jest zapomniéć gdy kto ma zgryzotę w sercu, gdy co noc we śnie, mara staje przed nim i woła: »Nikczemniku! morderco!« Pijmy! pijmy towarzysze, bo samo to

wspomnienie wysusza mi gardło i pali serce jak rozpalone żelazo. Nalejcie! nalejcie pełno! Upójcie biednego Adryana Brauwer.

—»Adryan Brauwer? rzekli do siebie młodzi ludzie: on! ten wielki malarz! w tym stanie prawie zwierzęcym?

—»Nalejcie! mówił dalej Adryan. Wina! Oto jest złoto; Adryan Brauwer dobrze płaci. Wina! wina!

—»Widzisz go jak przed pierwszym przybyszem rozpowiada to wsławione nazwisko, które przed chwilą nie chciał tarzać w błocie. Hej! kumie, dosyć już piłeś, teraz musisz wrócić do swego pomieszkania.

—»Do mojego pomieszkania! do mojego pomieszkania! Śmieszne są te chłopaki! Czyliż ja mam inne pomieszkanie jak w karczmie kiedy mam pieniądze, a na ulicy kiedy jestem bez grosza? Wina! kobieto, wina!

I wkrótce padł twarzą na stół i usnął.

—»Przykro mi jest żem przyjął zaproszenie mego nieszczęśliwego współziomka. Cóż robić, gdzież zaprowadzić człowieka tak pijanego?

—»Trzeba go tu zostawić, rzecze karczmarka ulitowawszy się nad ich kłopotem. Jutro rano albo dziś wieczór obudzi się i pić znowu będzie, dopóki nie wyda ostatniego szeląga. Wówczas wyjmie pędzle i farby z pudełka które tu leży pod stołem, zrobi obrazek z piérwszego przedmiotu który mu popadnie pod oczy, przeda go i znowu pić będzie. Możecie nie troszczyć się o niego.

Dwaj nieznajomi wstali i wyszli. Jeden z nich rzekł:

—»Piérwszy raz jestem w Paryżu i nie wiem gdzie będę mieszkał. Czy nie możesz wskazać mi taniego i przyzwoitego pomieszkania?

—»Także będąc cudzoziemcem, chciałem zapytać się o toż samo. Czy zechcesz, ponieważ przypadek nas po-

łączył, ażebyśmy razem poszukali mieszkania.

—»Chętnie; lecz może stancya moja nie przyda się dla ciebie, ja muszę mieszkać wysoko i w jasnéj izbie, zarabiam na życie malowaniem.

—»Osobliwszy traf, i ja także. Przychodzę z Lugdunu do Paryża; aby dać się poznać i zyskać nieco sławy.

—»A ja w tym samym celu przychodzę z Bruxelli.

—»Ponieważ jesteśmy kolegami i przyjaciołmi, musimy wiedzieć nasze nazwiska: rzekł Flamandczyk z uśmiechem: ja nazywam się Filip Van Champagne.

—»A ja Mikołaj Poussin.

—»Niech Bóg raczy opiekować się nami; oby kiedyś wsławiły się nasze nazwiska.

—»Amen. Oczekując na chwałę i majątek, posiadam jeszcze dziesięć talarów.

—»A ja dwanaście. Jest to wielki majątek; mamy za co żyć, więcéj jak przez miesiąc. Dla artystów jest to wieczność.

A śmiejąc się z wesołej chudoby swojej, dwaj nowi przyjaciele, znaleźli gospodę, gdzie za talara zapłaconego z góry, najęli na dni piętnaście izbę pod strychem, która mogła posłużyć im za pracownią.

II.

SĄSIAD.

Nazajutrz, dwaj młodzi artyści, kupiwszy wczorajszego wieczora płótno i stalugi, wyjęli z tłomoczków pędzle, farby i tablice i zabrali się do malowania. Każdy pragnął zyskać pomyślne zdanie swego towarzysza i nawzajem poznać jego talent. Mikołaj Pous-

sin pierwszy uległ ciekawości; po cichu odszedł ze swego miejsca i stanął za Filipem; łza błysła w jego oczach, ujął rękę młodego człowieka, nie mogąc wyrzec ani słowa. Filip zrobił głowę *Ecce Homo*, a ten szkic już był nacechowany szczytném piętnem pogody duszy i cierpienia.

—»A ty? bracie, a ty? przerwał Van Champagne idąc do obrazu Mikołaja. Uwielbiasz mię, zawołał, a jednakże jestem prawie uczniem przy tobie: gdyż trzeba klęknąć i modlić się przed obrazem Matki Boskiéj, którą wymalowałeś, przed tą dziewicą która litośne spojrzenia spuszcza ku ziemi. Ach! nie jest to ziemska istota, lecz Boga Rodzica chwalebna i nieśmiertelna! Mikołaju, będziesz wkrótce, jeźli jeszcze nie jesteś, największym malarzem Francyi.

—»A tymczasem, przerwał Filip mocno wzruszony uwielbieniem swego towarzysza, a tymczasem trzeba praco-

wać na zarobienie kilku groszy. Kupno stalug i płótna zupełnie nas zniszczyło. Wprzódy nim zostaniemy wielkimi ludźmi, starajmy się bydź ludźmi którzy mają za co zjeść obiad. Do pracy więc Mikołaju, z czasem będziemy bogaci.

—»Za naszą przyszłą chwałę!

—»Za nasze przyszłe bogactwa!

Wesoło wypili resztę wina i zjedli kawał suchego chleba, śmiejąc się do rozpuku i oddając się figlom które w nich wzbudziło niedbanie a raczéj zaufanie w przyszłość i w młodość.

Śmieli się jeszcze i skakali po izbie, gdy lekko zapukano do drzwi, a potém je otworzono, i człowiek mający około dwudziestu siedmiu lub ośmiu lat, wyglądający na kupca, wszedł i nieśmiało ukłonił się dwom artystom.

—»Moi młodzi kawalerowie, rzekł, czy nie możecie chociaż na dziś tylko wstrzymać się od hałasowania? Jestem waszym sąsiadem, przedziela nas waz-

ka ścianka, a wasza wesołość nieco hałaśliwa zrządza iż mi niepodobna zająć się pracą, którą jednakże dziś skończyć muszę.

—»I my weźmiemy się do pracy, damy pokój naszym śmieszkom. Będziesz więc mógł spokojnie zajmować się rachunkami i poznać czyli jaka zmyłka nie wcisnęła się w dodawanie.

—»Nie idzie tu o rachunek, chociaż idzie trochę o pieniądze w mojéj robocie: odpowiedział sąsiad z uśmiechem, spoglądając jako znawca na szkice Mikołaja i Filipa: mam pisać list dla dostania pieniędzy, a pensyi mi jeszcze nie wypłacono.

—»Szczęśliwy jesteś, że masz u ludzi pieniądze: chcielibyśmy bydź na twojém miejscu, rzekł Mikołaj.

—»Albož to nie możecie dostać pieniędzy kiedy wam się podoba? Te szkice można przerobić na małe obrazki; a mam znajomego który nietylko że kupi je od was, lecz jeszcze, pewny je-

stem, poruczy wam robotę; gdyż tym znajomym jest pan Duchesne malarz nadworny JO. Księcia kardynała de Richelieu.

—»Ach! panie, będziesz naszym dobroczyńcą i naszym przyjacielem, jeźli raczysz przedstawić nas temu znajomemu, od którego los nas zależeć może.

—»Dobrze więc, odpowiedział ten którego mieli za kupca; zobaczę go dziś wieczorem w teatrze hotelu Burgundzkiego; przyjdźcie tam, a usłyszycie od razu, nie czekając długo, odpowiedź pana Duchesne.

—»Jedna tylko trudność zachodzi.

—»A to jaka?

—»Chcąc pójdź do teatru, trzeba mieć pieniądze.

—»Czy to tylko? Wprowadzę was bez zapłaty, oto są bilety na parter.

—»Jestżeś więc czarnoksiężnikiem i posiadasz czarodziejską laseczkę?

—»Niestety! gdybym był czarnoksiężnikiem i posiadał tę laseczkę, przedewszystkiém urządziłbym interesa moje i nie pisałbym listu o którym wspominałem. Do widzenia, dzisiejszego wieczora, moi sąsiedzi.

—»Do widzenia, dzisiejszego wieczora w teatrze: odpowiedzieli dwaj młodzieńcy, a wziąwszy pędzle zajęli się malowaniem.

Nieznajomy wyszedłszy z ich izdebki, wszedł do przyległego pomieszkania, tak ubogiego, iżby mu najuboższy rzemieślnik nie zazdrościł. Wziął pióro, zatemperował je, usiłował pisać, mazał, znowu pisał i mazał i przeszło przez godzinę zajmował się tak ciężką pracą. Gdy ją nareście ukończył, pokazało się iż zapisał na cztéry strony arkusz niezliczonemi pobrózdowany poprawkami, a na nim było co następuje:

Do Wgo de Montoron podskarbiego JO. Księcia Kardynała de Richelieu.

WIELMOŻNY PANIE!

„Przynoszę Ci obraz jednego z najpiękniejszych czynów Augusta. Ten monarcha był jak tylko można najbardziéj wspaniałomyślnym, a ta jego wspaniałomyślność nigdy nie okazała się z większym blaskiem, jak w wysileniach jego łaskawości i hojności. Te dwie cnoty tak były w nim wrodzone i nieoddzielne, iż zdaje się że w zdarzeniu które wystawiłem na scenie, obie odrodziły się w duszach naszych. Tak był hojnym dla Cynny, iż jego sprzysiężenie stało się oznaką nadzwyczajnéj niewdzięczności i żeby mu przebaczyć, musiał uczynić nadzwyczajne wysilenie łaskawości; a przebaczenie to było źródłem nowych dobrodziejstw, tak dalece, iż można powiedzieć, że byłby nie tak łaskawym dla Cynny, gdyby był nie tak hojnym, i nawzajem nie byłby tak hojnym, gdyby nie był tak łaskawym. Gdy tak jest, ko-

muż mam słuszniéj poświęcić obraz jednéj z tych bohatérskich cnot, jeźli nie temu, który je w tak wysokim stopniu posiada, ponieważ w téj akcyi, ten wielki monarcha tak je z sobą połączył, iż obie nawzajem były przyczyną i skutkiem. Posiadasz bogactwa panie i umiesz ich użyć i to sposobem tak szlachetnym, tak wzniosłym, iż przyniewalasz sąd publiczny do przyznania, że los poradził się rozumu, gdy swoje łaski zlał na ciebie i że słuszniéj można życzyć ci ich podwojenia, niżeli zazdrościć ich obfitości.«

»Zawsze byłem tak daleki od pochlebstwa, iż tuszę sobie, że mi powinni zawierzyć gdy mówię dobrze o kim; a gdy chwalę (co mi się bardzo rzadko zdarza), czynię to z takiém ograniczeniém, iż usuwam część pewną prawd zaszczytnych, ażebym nie był podejrzany o rozpowiadanie tych kłamstw uprzejmych, które umie ogłaszać tak gładko, tylu tegoczesnych au-

torów. I dla tego nic nie powiem ani o zaletach twojego urodzenia, ani o twojéj odwadze, którą je tak godnie utrzymywałeś w zawodzie wojennym: są to rzeczy znane całemu światu. Nie wspomnę o prędkiém i potężném wsparciu którego doznaje od ciebie tyle szlachetnych rodzin zniszczonych podczas ostatnich naszych wojen domowych; chcesz bowiem te rzeczy zachowywać w ukryciu. Powiem to tylko co masz wspólnego z Augustem, a tém jest owa wspaniałomyślność składająca najlepszą część twojéj duszy i panująca nad drugą jéj częścią tak, iż ją słusznie nazwać można duszą twojéj duszy: gdyż porusza wszystkie jéj władze; i ta wspaniałomyślność, za przykładem Augusta, lubi rozlewać się na pisarzy, wtenczas, kiedy wielu mniema, że czczą pochwałą dostatecznie wynagrodziłeś ich prace. I zaiste tak wspaniale postąpiłeś sobie względem niektórych muz naszych, iż przez to zobowiązałeś wszystkie i każda po-

winna ci dziękować. Uważaj przeto za dobre, iż uiszczam się z mojej powinności ofiarując ci to poema, które wybrałem jako najtrwalsze z moich wszystkich, ażeby w jak najpóźniejsze czasy nauczało tych co je czytać będą, że wspaniałomyślny pan de Montoron, przez hojność niesłychaną w tym wieku, zobowiązał sobie wszystkie muzy a ja tyle mam udziału w twoich dobrodziejstwach, że aż do zgonu wdzięcznym bydź nie przestanę."

Dwa razy odczytał ten list, wziął arkusz czystego papieru, przepisał powoli cztery stronnice pisma, a skończywszy, odczytał raz jeszcze. Potem ciężko westchnął i przydał te dwa wiersze:

Wielmożnego Pana, najniższy, najposłuszniejszy i najobowiązańszy sługa.

Nareście, podpisał:

KORNEL.

III.

W TEATRZE.

Widowiska sceniczne w owym czasie, zaczynały się o czwartéj lub o w pół do trzeciéj. Mikołáj i Filip porzucili pędzle i poszli do pałacu Burgundzkiego. Mogli z resztą sumiennie użyć téj rozrywki, gdyż prawie ukończyli dwa małe obrazki zaczęte od rana. Zjedli resztę chleba, oczyścili ile było można, swoje ubranie, zarzucili na lewe ramiona krótkie swoje płaszczyki, jak była moda, nie zapomnieli o szpadach i wyszli uradowani nadzieją zabawy, którą ich obdarzył uprzejmy sąsiad.

Po drodze, stąpając na palcach ażeby nie splamić trzewików i pończoch, postrzegli tłum ludzi nad brzegiem rzeki, chcieli wiedzieć podobnie jak drudzy co

tam sprowadza tyle osób i wszedłszy na kobylicę, zajrzeli przez głowy zebranych ludzi. O Boże! było to ciało Adryana Brauwer, martwe i skrwawione. Nieszczęśliwy, wyszedł był z szynkowni pijany jak zwykle, padł na ulicy, powóz zgniotł mu piersi i zabił go od razu.

Mikołaj i Filip bledzi i drżący, z przestrachem spojrzeli na siebie.

— »Biédny człowiek! westchnął Van Champagne, w jakąż otchłań wstydu i niedoli wtrąciło go nieporządne życie! Także okropnie miał skończyć jeden z najsławniejszych malarzy Flandryi!

— »Matko Boża! rzekł Poussin, opiekuj się nami i spraw ażebyśmy nigdy nie byli narażeni na pokusy bałamuctwa.

— »Wino, którém wczoraj poczęstował mię ten człowiek, pali mię w gardle i dusi.

—»Sprzedawszy jeden z naszych obrazów, zamówimy mszę za wieczny odpoczynek jego duszy.

—»Dobra i mądra myśl... Ach! co za tłok! o Boże! czyliż dostaniemy się do sali pałacu Burgundzkiego?

—»Będziemy tłoczyć się jak i drudzy. Jakąż sztukę dziś grają? Przeczytaj afisz.

—»Cynna, tragedya Piotra Kornela.

—»Czy to jest w modnym rodzaju.

—»Zobaczymy wkrótce.

—»Baczność, bo już tłum się ciśnie? otworzono drzwi.

Taki był nacisk widzów, iż godzina upłynęła nim Filip i Mikołaj mogli dostać się na parter. Dzięki zręczności i wytrwaniu, dwaj młodzi ludzie wcisnęli się na najlepsze miejsca na przodzie; a wkrótce czterech skrzypków zaczęło uwerturę której nikt nie słuchał. Po muzyce odsłoniono kurtynę i widać było scenę zajętą podług ówczesnego zwyczaju, przez mnóstwo mło-

dych panów, którzy ledwie tyle miejsca zostawiali aktorom, iż mogli odgrać swoje role.

Wzniosła tragedya Kornela uczyniła głębokie i mocne wrażenie na prostéj i poetycznéj duszy młodych malarzy. Koleją byli za stroną Augusta, Cynny, Emilii, koleją to złorzeczyli Augustowi, to uwielbiali jego wspaniałomyślność.

Zaiste, nigdy geniusz Kornela nie otrzymał prawdziwszego hołdu jak ten, który składały mu burzliwe i przemienne wrażenia tych dwojga serc szlachetnych, obcych do tego czasu wzruszeniom sceny i zupełnie im się oddających.

—»Ach! jaki szczytny autor! jaki wielki człowiek ten Kornel! czemuż go tu nie ma, ażebyśmy z uszanowaniem ucałowali jego ręce: rzekli wychodząc z Burgundzkiego pałacu, z oczyma zwilżonemi i od łez i z bijącém sercem.

Ktoś lekko dotknął się ramienia jednego z nich, obrócili się i poznali swego sąsiada.

—»Dzięki, dzięki za roskosz którą nam zrządziłeś, zawołali; Kornel jakże jest godnym uwielbienia! jakżebyśmy pragnęli go poznać.

—»Lecz to nie jest rzecz trudna: rzekł kawaler który trzymał się pod rękę z sąsiadem dwóch malarzy.

—»Jestem pewien, że musi bydź wysokiego wzrostu, postawy bohatérskiéj i monarszéj.

—»Bynajmniéj. Widząc pana Kornela, niktby nie sądził iż tak dobrze oddaje ducha i mowę Greków i Rzymian iż tak dobitnie maluje uczucia i namiętności bohatérów. Za piérwszém wi, dzeniem wziąłem go za kupca z Rotomagu; jego postawa nie wykazuje mocy jego umysłu, w rozmowie nie dostaje mu łatwości, jest dosyć wysokim i dobréj tuszy, minę ma bardzo prostą i pospolitą, ubranie zaniedbane, twarz

przyjemną, nos duży, usta piękne, oczy pełne zapału, fizyonomią żywą, rysy wydatne i wymawianie nie bardzo czyste.

—»Portret nie jest zbyt pochlebny, rzekł sąsiad uśmiechając się z dobrocią.

—»Lecz jest prawdziwy. Niech sądzą ci panowie.

—»Jakżeby to bydź mogło? Nie znamy tego znamienitego poety.

—»I owszem, jest waszym sąsiadem, widzicie go przed sobą.

—»Pan Kornel! zawołali odkrywając głowy. Ach panie! jakżeśmy się omylili dziś rano.

—»Odpokutowałem za moją niepoczesną minę i na tém koniec. Nakryjcie głowy, gdyż mamy mówić o interesach.

»Ten pan z którym idę jest to pan Duchesne, malarz nadworny JO. Księcia Kardynała. Ponieważ zawierza trochę mojemu smakowi w malarstwie, raczył pozwolić ażebyście jutro rano

pokazali mu wasze dwa obrazy. Jeźli mu się podobają, o czém nie wątpię, znajdziecie w nim opiekuna, mieć będziecie zatrudnienie, sławę i pieniądze. Podziękujcie więc panu Duchesne i pójdźcie ze mną, gdyż jego służący czekają nań, noc jest ciemna a mamy kawał drogi do naszego wspólnego mieszkania. Młodzieńcy podziękowali panu Duchesne, który przyjął ich oświadczenia z miną nieco protektorską, a potém każdy wrócił do siebie.

IV.

KARDYNAŁ RICHELIEU.

Z uszanowaniem odprowadziwszy Kornela aż do drzwi jego szczupłéj stancyjki, Mikołaj i Filip powrócili do swojéj. Chociaż było już po dziesiątéj wieczorem, długo jeszcze gadali o

świetnych marzeniach przyszłości. — W rzeczy samej, ileż to wypadków nastąpiło od rana! Czyliż nie zdaje się że Opatrzność bierze ich pod opiekę swoją i zaczyna zamieniać w szczęście, życie pełne dotąd prób i przeszkód.— Trzykrotne spotkanie wielkiego Kornela obietnice i opieka malarza Duchesne, a nawet i ten smutny widok Adryana Brauwer, mogący służyć za surową naukę, ażeby roztropnie i po chrześciańsku używali przyszłych darów fortuny, czyliż to wszystko niejest cudowną wróżbą ich przeznaczenia? Będą malować w Luxemburgu i w Palais Royal. Ich pracę widzieć będą najlepsi znawcy i najwięksi panowie w Paryżu, ci którzy rozdzielają wziętość i ci którzy szafują złotem! Dzięki Tobie, o Boże! zesłałeś nam szczęście przez ręce wielkiego Kornela!

Północ już oddawna wybiła, gdy zasnęli, a zorza już się zaczynała pokazywać, gdy już wstali i wyporzą-

dzali swoje najlepsze suknie. Potém wzięli pędzle i farby, chcieli jeszcze poprawiać obrazki które mieli pokazać panu Duchesne, gdyż w miarę jak zbliżała się godzina próby, czuli słabnące zaufanie w siłach swoich, a powątpiewanie tłumiło ich nadziej. Niespokojni, pomieszani, wybierali się jednakże do Luxemburgskiego pałacu, gdy w tém z lekka zapukano do drzwi i wszedł Kornel ubrany i gotów do wyjścia.

—»Ach! ach! rzekł poeta patrząc na nich z dobrocią: widzę że nie były mylne moje przypuszczenia; lękacie się moje dzieci. I ja byłem w takim stanie, gdym czytał *Melitę* aktorom.— Tego samego uczucia doznaję zawsze, gdy publiczność sądzić ma nową sztukę moją; zwątpienie, zniechęcenie, bojaźń... Dla tego też będę wam towarzyszył... nie opuszczę was dopóki nie będziecie osiedleni w pałacu Luxemburskim.

Przybywszy do królewskiego pomieszkania, musieli czekać kilka chwil w przedpokoju pana Duchesne, gdzie już było wielu ubiegaiących się o posłuchanie u nadwornego malarza księcia kardynała. Lecz gdy woźny oznajmił pana Kornela, natychmiast przyjęto poetę i dwaj młodzi malarze weszli za nim.

—»Cóż? rzekł Duchesne, tak mocno zajmujesz się temi młodzieńcami, iż poświęcasz poranek ażeby mi ich przyprowadzić. Byliby wielkiemi winowajcami, gdyby nie zrobili pięknych obrazów w zamian za piękne wiersze, od których cię oderwali. Zobaczmy te obrazki o których wspominał pan Kornel! Dalibóg, autor Cyda zna się na malarstwie; nie zła jest to robota, i przyjmuję was do rzędu malarzy pracujących tu pod moim kierunkiem. — Mieć będziecie bezpłatne pomieszkanie w kollegium Laon i każdy trzy talary

dziennie: czy przystaniecie na te warunki?

Było to niespodziane szczęście dla dwóch malarzy, z rozrzewnieniem podziękowali panu Dachosne.

—»Weźcie się pracy, pójdźcie ze mną do téj galeryi.

Wskazał im dwa medaliony, gdzie trzeba było wymalować przedmioty, które im podał; uprzedził że przyjdzie nad wieczorem obejrzéć ich robotę, a wziąwszy Kornela pod rękę:

—»A ty, rzekł do poety, ty tak troskliwy o szczęście innych; jakże się tobie powodzi? Ojciec twojéj kochanki, czyliż nareście zezwala na oddanie ci ręki córki swojéj?

—»Niestety! mój przyjacielu: odpowiedział Kornel wzdychając, nie śmiałem nawet prosić go powtórnie.— Gdybyś wiedział jak przyjął mego brata Tomasza, gdym go wyprawił do Andelys, prosząc przez niego o rękę panny Lamperiere. Kommendant roz-

śmiał się w głos, z pierwszych wyrazów mego brata, i zapytał się czy ze zdrowemi zmysłami przychodzi prosić o rękę córki sztabs-officera, dla ubogiego wierszokletу. Tomasz odpowiedział że jestem poetą, lecz że poezya należy do sztuk wyzwolonych; przydał także iż pochodzę z zacnéj familii sądowniczéj i że mój ojciec piastował zaszczytnie urząd intendenta lasów i wód w wicehrabstwie Rouen.— Te wyrazy nietylko nie skłoniły pana de Lamperiere, lecz go rozjątrzyły jeszcze bardziéj i rozkazał swoim służącym wypędzić mego brata. Jakaż mi więc pozostaje nadzieja zaślubienia Maryi? Jedyną moją pociechą jest to, że kiedy niekiedy pojadę do Andelys i tam wieczorem chodząc koło jéj okien, widzę ją przy świetle lampy, modlącą się za tego, którego jest narzeczoną w obliczu Boga.

—»Mniemałem żeś wspomniał o swojém kochaniu JO. Księciu Kardynałowi.

—»Książe Kardynał jest bardzo łaskaw dla mnie. Raczył przybrać mię razem z panem Bois-Robert, Colletet i Rotrou, do układania wierszem sztuk, których plany robi, i wyznaczył mi pensyą sześćset liwrów; nareście, chociaż okazał się nieco za zasurowym dla Cyda i kazał go krytykować, mogę jednakże liczyć jeszcze na jego względy. Lecz w tém zdarzeniu ta łaska stoi mi na przeszkodzie. Teraz gdy powodzenie Cynny podaje mi sposobność powrócenia do Normandyi i zobaczenia mojéj kochanki, kardynał opóźnia mój odjazd, bądź tym bądź innym wypadkiem, a raczej jednym tylko. Albowiem przyznaję się że nie mam pieniędzy potrzebnych na drogę, a kardynał chcąc mię zatrzymać, nie pozwala panu Montoron wypłacić mi kwartalnéj raty mojéj pensyi. Zawsze wynajduje tysiące wymówek aby mi nie wypłacić pieniędzy i gratyfikacyi przyrzeczonéj przez księcia kardynała. Umy-

śliłem przypisać moją tragedyą panu de Montoron; może go wzruszy ta oznaka mego szacunku.

—»Nie potrzebujesz tego sposobu: przerwał Duchesne: wiesz że moje pieniądze są na twoje usługi.

—»Dziękuję ci przyjacielu, dziękuję ci za tę ofiarę, lecz gdybym nawet otrzymał od ciebie pieniądze na drogę, nie śmiałbym wyjechać bez pozwolenia księcia kardynała do którego należę. Muszę więc czekać, gdyż naraziłbym się na gniew któregobym znieść nie zdołał.

—»Mocniejsi od ciebie źle na tém wyszli; dobrze więc czynisz. Lecz na twojém miejscu powiedziałbym wszystko kardynałowi, wyznałbym że moje szczęście i Marya są w Andelys. Książe kardynał nie jest obojętnnym na cierpienia serca. Jadę natychmiast do pałacu kardynała, siadaj ze mną do mojego powozu, powiedz wszystko naszemu panu;

on lubi miłośne zdarzenia i to go zabawi.

—»Ależ powiadam ci że je zna; pewnego razu wszedłem do niego smutny i roztargniony; nalegał na mnie i wszystko wyznałem.

—»I cóż ci odpowiedział?

—»Ruszył ramionami, zaczął śmiać się i prosił mię żebym położył na jego kolanach kotka który z nich był zleciał.

—»To mię bardzo dziwi; gdyż zazwyczaj książe kardynał więcéj zwraca uwagi na wyznania miłośne.

—»Ojciec Józef wszedł wówczas. Kardynał kazał mu przystąpić do swego krzesła. Usunąłem się na stronę, oni rozmawiali przez czas niejaki po cichu, śmiejąc się i winszując sobie swoich układów. Zdało mi się że kardynał spoględał na mnie ukradkiem; lecz musiałem się mylić. W rozmowie tych dwóch polityków szło zapewne o co innego, nie zaś o biéduego zakochane-

go poetę. Pan Le Grand wszedł a ja wyszedłem. Od tego czasu, już temu dwa tygodnie, kardynał nic mi nie wspomniał o mojém wyznaniu, lecz tysiącem bezpośrednich sposobów opóźniał mój wyjazd do Normandyi.

—»Na twojém miejscu będąc, jeszcze raz mówiłbym o téj rzeczy.

—»Byłoby to daremne staranie. Żegnam cię; bądź łaskawym dla moich młodych przyjaciół.

—»Polecenie wielkiego Kornela jest u mnie wszechwładne, wiesz to dobrze.

»Wielkiego Kornela! powtórzył poeta wzdychając: nędzna wielkość! nędzna chwała! któréj mi zaprzecza jeden szlachcic z prowincyi i która w niczém nie może przyłożyć się do mojego szczęścia!

Smutny wrócił do domu, i tam znalazł rozkaz księcia de Richelieu, aby natychmiast udał się do kardynalskiego pałacu.

4*

Od świtu, kardynał Armand de Richelieu mając w koło siebie czterech sekretarzy, brał po kolei papiery obciążające niezmierne bióro przy którém siedział, przebiegał je oczyma i dyktował, już to jednemu już drugiemu z tych czterech sekretarzy. Oni w miarę ukończenia pracy, oddawali ją innym podwładnym którzy ją przepisywali i odsyłali tam gdzie się należało; kardynał był ogniskiem z którego wychodziły wszystkie promienie woli najwyższej.

Co chwila, gońcy rządowi, zakonnicy, szlachta, przynosili nowe papiery. Kardynał przeglądał je nie wstrzymując dyktowania, nie tracąc ciągu interesu którym się zajmował. I jakoby dla okazania swoich nadzwyczajnych zdolności i cudownego objęcia interesów, odzywał się kiedy niekiedy do swoich domowników stojących przy dwóch kominach, które ogrzewały ten niezmierny apartament.

—»Panie de Fresnoy, rzekł do jednego z nich, dyktując protokuł zawieszenia broni między Francyą i Niderlandami, czy wypełniłeś dane ci polecenie względem podróży do Andelys?

—»Co do słowa JO. Panie, odpowiedział stary dworzanin dosyć nieprzyjemnéj miny, wstając z uszanowaniem. Nie odpowiadając na to, nie pokazując nawet po sobie że słyszał odpowiedź, kardynał dyktował daléj.

Otworzyły się drzwiczki skryte, i wszedł kapucyn ojciec Józef, przyjaciel i powiernik kardynała. Kardynał powitawszy go, rzekł:

—»Panie de Fresnoy, pójdź po wiadome ci osoby, przyprowadzisz je tu do mego gabinetu, tak żeby z nikim nie nie miały związku; użyjesz nawet środków, ażeby nikt ich nie postrzegł po drodze. Jest to rozdział z romansu w akcyi, ojcze Józefie i chcę żebyście należeli do téj rozrywki. Czekający wnijść mogą.

Na te słowa, sekretarze wstali, służący wynieśli bióro, a kardynał pozostał z ojcem Józefem.

Kardynał witał skinieniem ręki i głowy, niekiedy słowami, stosownie do stopnia i znaczenia, panów, którzy mu składali uszanowanie swoje, a których oznajmiał dworzanin ministra, donośnym głosem.

Gdy się skończyło uroczyste posłuchanie:

»Pan Kornel! oznajmił dworzanin.

— »To dobrze, niech wnijdzie. »Mości Kornel, cieszę się bardzo, że będziesz mógł udzielić mi zdania o sztuce, którą ułożę w twojéj obecności a którą zrymujesz potém... jeźli ci się podoba.

— »Jestem na rozkazy JO. Pana, odpowiedział autor Cyda, kłaniając się aż do ziemi. Czy to jest sztuka bohatérska?

— »Tak i nie; sam się o tém przekonasz, gdyż odgrana będzie przy to-

bie. Powiesz mi twoje zdanie, po reprezentacyi. Stań za temi drzwiczkami; obecność twoja mogłaby mieszać aktorów.

Kornel był posłusznym i nie pomału zdziwił się, widząc że wszedł baron de Lamperiere i jego córka Marya.

—»Dziwne rzeczy powiadano mi o WPanu, rzekł kardynał przenikliwym głosem; poważyłeś się zuchwale mówić o mnie i o osobach mojego domu, mości panie gubernatorze Andelys.

—»Ja! zawołał stary officer, już widząc rusztowanie wznoszące się przed nim.

—»Tak jest, mości panie.

—»Biorę niebo na świadka żem zawsze wspominał imię JO. Księcia Kardynała z uszanowaniem; przysięgam to na zbawienie duszy mojej.

—»Nie przysięgaj fałszywie! przerwał Richelieu surowym tonem. Lepiejbyś zrobił, gdybyś pilnował córki swojej, która co wieczór stawia lampę

w oknie swego pokoju, ażeby młodzieńcy przechodzący mogli ją widzieć.

—»Ach panie! rzekła Marya zalewając się łzami i kryjąc twarz swoją.

—»Nędznico! zawołał kommendant uniesiony gniewem.

—»Nikt prócz mnie nie ma tu prawa wymierzać naganę. Wprzódy nim potępisz, usiłuj ocalić głowę twoją. Zasłużyłeś na potępienie przez nieuszanowanie, z jakiém mówiłeś o poezyi i poetach.

—»Ja, JO. Panie? A cóż JO. Pana obchodzić mogą te wyrazy, gdybym je nawet był powiedział? Cóż JO. Panu po takich dziecińństwach?

—»Co mi po nich? o Boże! Czyliż nie wiesz że więcéj dbam o moją sławę, jako wielkiego poety, niżeli jako zręcznego ministra? że kto uwłacza poezyi, ten mnie uwłacza, i że pomszczę się za wyrządzoną zniewagę w mojéj osobie, szanownemu zgromadzeniu poetów?

Kommendant Lamperiere, stary żołnierz, bieglejszy w robieniu bronią, ni-

żeli w poznawaniu się na mistifikacyach, nie wiedział co począć; kardynał ucieszony pomyślnym skutkiem swego żartu, śmiał się w duchu.

—»Jednym tylko sposobem zyskasz przebaczenie.

—»Jakim, JO. Panie?

—»To jest, że mi za godzinę przyniesiesz wiersze twojéj roboty.

Na te słowa kommendant ledwie nie zemdlał.

—»JO. Pan może kazać wystawić szubienicę, gdyż ledwie że umiem się podpisać.

—»Uważaj; chcę ci przynieść ulgę. Muszę mieć te wiersze, lecz pozwalam ażeby je napisała osoba należąca do twojéj familii.

—»Lecz JO. Panie i moja córka nie jest także poetką.

—»A więc wydaj ją za poetę, który was oboje zastąpi w tym razie, a mam takiego pod ręką.

Odsunął firankę i pokazał Kornela.

—»Przebacz JO. panie! zawołał uspokojony kommendant, lecz nie trzeba było tylu ceremonii dla powiedzenia mi że chcesz zaślubić moją córkę z panem Kornelem. Moje i Maryi uwięzienie, nasza podróż do Paryża i ten cięźki poranek, są zbyteczne.

—»Nie; gdyż najprzód daję Maryi 10,000 talarów posagu. Czy przebaczy mi za to, zapłonienie i łzy których byłem przyczyną?

Panna Lamperiere chciała ucałować rękę kardynała, lecz nie pozwolił na to i pocałował ją w oba policzki.

—»Tobie zaś kommendancie daję dowództwo miasta Rotomagu, gdyż jesteś wiernym i prawym sługą królewskim. Mości panie Kornel, cóż mówisz o mojéj bohatérskiéj komedyi?

—»Jest arcydziełem, jak wszystkie prace JO. księcia kardynała.

—»A więc przyśpieszmy rozwiązanie. Ojcze Józefie, zawołaj mego kapelana; niech da ślub dwojgu kochankom.

—»Mój zięciu, rzekł kommendant Lamperiere do Kornela, idąc do kaplicy, dla czegóż nie oznajmiłeś mi przez twojego brata, że jesteś tak dobrze położony u dworu? Ta okoliczność byłaby ci zjednała lepsze przyjęcie niżeli tytuł poety, z którym tak wyjeżdżał na plac.

—»Dalibóg, rzekł kardynał który go dosłyszał, zdaje mi się że kommendant jeszcze uwłacza poezyi: czyliż nie dość surową naukę otrzymał?

—»JO. Panie, nietylko że nie uwłaczam, lecz chcę się uczyć wierszy na pamięć; zięć mój wskaże mi najlepsze.

—»Są to wiersze *Miramy*.

—»Lecz jeźli się nie mylę, sztuka pod tym tytułem grana była w Andelys i zyskała nie bardzo dobre przyjęcie.

—»Milcz, na Boga! oby cię kardynał nie był słyszał.

—»A to czemu?

—»Gdyż on jest autorem *Miramy*.

—»Ach! pomyślał stary żołnierz, pragnę czém prędzéj powrócić do domu, gdyż oszaleję pośród tych utrapionych poetów; niechaj mię Bóg zachowa od nich.

Lecz nie powiedział na głos tego co myślał po cichu, a tymczasem przyszli do kaplicy. Po stole, nowożeńcy mieli zaszczyt obiadować z księciem kardynałem, a potém pan Lamperiere pożegnał się z zięciem i córką i pojechał do Rotomagu, dla objęcia dowództwa w tém mieście.

V.

KONIEC TRAGEDYI.

Znając jak mało sprzętów miał Filip Van Champagne i Mikołaj Poussin, pojmiemy, że przeprowadzenie krótko trwało i że tego dnia jeszcze przenieśli się do pomieszkania w kolegium La-

on. Żywéj doznawali radości gdy opuścili biédną izbę pod strychem i mieszkali w dwóch pięknych pokojach umeblowanych z przepychem, jakiego jeszcze nie widzieli; gdy po ich biédnym i niepewnym stanie, nastąpiła przyszłość szczęśliwa i bezpieczna: przynajmniéj tak im się zdawało. Dla tego téż, piérwszego tygodnia pracowali ile tylko było w ich mocy. Poussin, z cudowną łatwością talentu która go cechowała, ukończył w przeciągu dni ośmiu, dwa małe obrazki w lamperyach wielkiéj sali, a Van Champagne zrobił szkic wielkiego obrazu do sypialnego pokoju królowéj. Tak malowali od rana do wieczora, a gdy mrok zapadał, chodzili razem na obiad i przez kilka dni nie mieli czasu odwiedzić Piotra Kornela.

Poeta, otrzymawszy skutkiem dziwactwa kardynała, rękę téj którą długo kochał bez nadziei, zajęty szczęściem swojém, nie myślał o dwóch

młodych przyjaciołach. Szczęście czyni nas samolubnemi. Przepędzał wszystkie godziny u nóg Maryi i nie mógł nasycić się jéj widokiem i głosem, albo téż przechadzał się z nią i pokazywał jéj osobliwości Paryża. Wieczorem szli do teatru, tam usiedli w jakim ustronnym kąciku: i trzymając rękę swoją w ręku męża, Marya słuchała wierszy jego. Ach! jakże ją mocno wzruszały skargi Xymeny! jak pojmowała te miejsca, które natchnęła miłość jego dla Maryi. Łzy słodkie i szczęśliwe płynęły z jéj oczu, pierś biła ze wzruszenia; lekko ściskała rękę Kornela, który ją błogosławił z głębi duszy.

»Dzięki! mówił sam w sobie, dzięki Ci o Boże za to, żeś same tylko czyste myśli umieścił w sercu mojém; żeś mi nie kazał szukać szczęścia za obrębem powinności. Dopóki mi nie wolno było kochać Maryi, dopóki wola jéj ojca oddalała mię od niéj, szanowa-

łem te surowe rozkazy i nie usiłowałem nakłonić ją do nieposłuszeństwa; wyrzucałem sobie nawet jako winę, żem przechodził pod jéj oknami i usiłowałem ją widzieć. Teraz jest moją! dziś mogę wyznać czułość moją przed Bogiem i przed ludźmi. Dzięki Ci o Boże! niechaj będzie błogosławione Imie Twoje, gdyż uczyniłeś mię najszczęśliwszym z ludzi!«

Po teatrze wracali do domu, pieszo i powoli; zbytek szczęścia i wzruszenia mówić im nie dozwalał. Są uczucia, które nie potrzebują słów ludzkich i których nawet nie możnaby wydać słowami. Takiém była miłość Kornela i Maryi, miłość święta, czysta, któréj nie umniejszy ani czas, ani nazwyczajenie: ci wielcy niszczyciele uciech światowych, nieosłonionych skrzydłami anioła, nie będących pod opieką pana.

Przez ośm dni, Kornel nie napisał ani jednego wiersza i dopiéro pewne-

go ranku, Marya przypomniała mu że jest poetą, Marya, na którą spoglądał jak się krzątała koło gospodarstwa, z miłym wdziękiem i z prostotą godną czasów Homera. W krótkiéj spodniczce, z krótkiemi rękawkami, umiała uzacnić najpospolitsze prace domowe, sposobem jakim je wypełniała i porządkiem pełnym wdzięku. Izdebka zapełniona w nieładzie książkami i papierami, przybrała nową postać i nabyła wartości, o jakiéj wprzódy ani domyśléć się nie było można. Lecz nie dosyć na tém, Kornel dziwił się jeszcze bardziéj, oszczędności którą młoda gospodyni zaprowadziła w jego wydatkach, a przy tém otoczyła go dobrym bytem, daleko większym od tego, którego doznawał gdy sam sobie gospodarzył. Jakże mógł pisać wiersze, w pierwszych uniesieniach tak wielkiego szczęścia! A gdy młoda małżonka pochyliła się nad jego ramieniem, pokrywając twarz męża potokiem swoich jasnych wło-

sów, gdy wlepiła w niego czarne oczy, otworzyła różowe usta i rzekła:

—»Piotrze! Piotrze! a wiersze któreś przyrzekł kardynałowi dla uiszczenia długu mego ojca? Zły dłużniku! dostałeś pensyą i żonę, a nie zwracasz zapłaty:

Kornel upokorzył się pod drobnym paluszkiem co mu wesoło groził i wziął pióro które podawała Marya. Chciał pisać, przeciągnął rękę po szerokiém czole, lecz wkrótce wypadło pióro z jego ręki; oczy wzniesione ku niebu i szukające natchnienia, czule zwróciły się ku Maryi.

—»O leniwy! o nieposłuszny! zawołała Marya. Cóż to panie, czyliż mię nie usłuchasz? Daléj do pracy; nie patrz na mnie. Kiedy tak, nie zobaczysz mię dopóki nie napiszesz wierszy. Zasłonię ci oczy, a ty mi będziesz dyktować.

I czyniąc tę pogróżkę, zdjęła chusteczkę z szyi i zawiązała oczy mężowi. Piotr po krótkim i wesołym oporze, usiadł. Wtedy Marya położyła papier

na jego kolanach i usiadła przy tém biórku swego wynalazku, gotowa do pisania.

Kornel, po kilku chwilach namysłu, ułożył i podyktował sonet na pochwałę kardynała, który znajduje się w zbiorze dzieł jego.

—»A cóż Maryo! zapytał się, zdejmując zasłonę z oczu, jestżeś kontenta i nic już nie wymagasz od męża z którym się tak surowo obchodzisz?

—»I owszem, chcę żebyś mię uściskał: odpowiedziała, zbliżając do niego swoje czyste czoło i czarne oczy. I przydała, obejmując ręką szyję męża.

—»Jutro Piotrze, rozpoczniesz znowu twoją pracę, nieprawdaż? Pisać będziesz dalej tę piękną tragedyą Poliekta, któréj piérwsze sceny czytałeś mi wczoraj. Bo nie możesz ustawać w szlachetnym zawodzie, który z taką siłą przebiegasz; muszą powiedzieć: »Od czasu jak się ożenił, wielki Kornel stał się większym jeszcze.« Two-

ja chwała jest moją chwałą, Piotrze, twoje imie jest mojém i musi jaśnieć niezrównanym blaskiem. Porzuciłam stare moje szlachectwo, żeby twoje przybrać, mój wielki poeto. Byłam tylko córką hrabiego, chcę bydź żoną księcia poetów.

»Boże! zawołał Kornel, dzięki Ci składam od rana do wieczora, za żonę którą mi dałeś, i nie zdołam wynurzyć całéj wdzięczności mojéj. Tak jest Maryo, pracować będę z nowym zapałem, talent mój wzrośnie jeszcze, sławném będzie imię twoje złączone z mojém. Czuję natchnienie, obudza się mój geniusz młody i szczytny. Przed chwilą dyktowałem ci mierny sonet, ażeby ci bydź posłusznym; teraz pisz scenę, która dowiedzie że można wyrównać *Cydowi* i *Cynnie*.

I chodząc wielkim krokiem po izbie, podyktował dwie piękne sceny Poliekta, arcy-dzieło melancholii i rezygnacyi chrześciańskiéj:

Zrzódła ponętne, a w nędzę płodne,
Czegóż żądacie rozkosze zwodne?
Więzy łączące z światem i z ciałem,
Precz, precz odemnie, już was zerwałem.
Dumo, uciechy, marności świata!
Próżno toczycie walkę w méj duszy;
Szczęśliwość wasza z wiatrem ulata,
Jak szło błyszcząca, jak szkło się kruszy.

Nie będę więcéj wzdychać za wami,
Ni się waszemi łudzić wdziękami;
Ani mię strwożą krwawe zamiary,
Potężnych wrogów Boga i wiary.
Bóg sprawiedliwe ciosy wymierza,
Z kolei dotknie karą surową;
Wszystkie zamysły grzeszników zmąci:
Miecz zawieszony nad dumnych głową,
Tym nieomylniéj ją strąci,
Im niespodzianiéj uderza.

Niech ojciec zerwie swéj córki śluby,
Niechaj mię zgubi w gniewu zapędzie;
Niech tu mój rywal władzę posiędzie;
Zezwalam, pragnę mojéj zaguby.
Świat dla mnie odtąd niczém już będzie.
Mam w piersiach serce chrześcianina,
Boskiego pełne płomienia

Nawet tak droga niegdyś Paulina
Jest tylko tamą mego zbawienia.

Pobożne myśli, rozkosze święte,
Serca was godne, wskroś przejmujecie.
A waszym ogniem dusze przejęte
Nic już nie zdoła wzruszyć na świecie.
Wiele przyrzekłszy, więcéj dajecie.
Wasze to dobra są wieczno-trwałe,
A śmierć przezemnie tak pożądana,
Z lekka wprowadzi w przybytek Pana,
Gdzie znajdę wieczne szczęście i chwałę. (1)

I nie zatrzymując się, za jednem natchnieniem ciągnął aż do wieczora swoją cudowną improwizacyą. Marya słuchała go ze czcią religijną, nie śmiejąc mu przerwać, chociaż chciała to uczynić; lękała się bowiem żeby tyle utrudzenia i wzruszeń, nie stało się zgubne jéj mężowi; lecz tajemna władza, niezwalczony urok, zniewalał ją do milczenia, do pisania wierszy które jéj mąż dyktował, do szanowania jego bezprzykładnych natchnień.

(1) Poliekt akt IVty scena IIga.

Wieczorem, Kornel wycieńczony trudem, z uznojoném czołem, bez tchu i jak gdyby gorączką trawiony, padł na krzesło.

Skończył akt czwarty Poliekta i cały piąty podyktował.

VI.

RÓŻA.

Filip i Mikołaj z zapałem pracowali w pałacu Luxemburgskim, gdyż wieść się rozeszła, że królowa obejrzy ten pałac i chcieli okazać swoje talenta w obec monarchini, znanéj z upodobania w sztukach pięknych i lubiącéj udzielać im opieki. Z zadziwieniem przeto i z niechęcią odebrali rozkaz od P. Duchesne, żeby w tym dniu tak upragnionym dla nich, nie przyszli do Luxemburga. Daremnie usiłowali odgadnąć powody tak

dziwnego rozkazu. Lecz przypadek zepsuł rachubę pana Duchesne, albowiem w wilią dnia oznaczonego na przybycie monarchini, wielki hałas dał się słyszéć na dziedzińcu zamkowym, i przyjechała królowa ze swoim orszakiem. Natychmiast Duchesne pobiegł do sal gdzie pracowali Poussin i Van Champagne, kazał im odejśdź do pobocznego gabinetu, a potém wyszedł naprzeciw królowéj.

—»Panie Duchesne, rzekła królowa wysiadając z karety; przybywam o dzień wprzódy, lecz jutro wyjeżdżam z Paryża do Fontainebleau na resztę pięknéj pory roku i chciałam przed odjazdem obejrzéć pałac Luxemburgski, który tak upiękniasz, jak wszyscy mówią. Zobaczmy malowania.

I natychmiast królowa i jéj orszak zaczęła przebiegać sale; zatrzymywano się już, to dla tém lepszego obejrzenia, już to dla słuchania postrzeżeń królowéj, czynionych z godnym podziwie-

nia gustem i trafnością. Przyszli nareście do sypialnéj komnaty, gdzie był szkic obrazu, co go Filip Van Champagne malował. Obraz ten wystawiający Wenerę, któréj usługują Gracye, już był na pół zrobiony i można było wyobrazić sobie jaki będzie po zupełném wykończeniu. Królowa skinęła na jednę z dam aby jéj podała krzesło.

—»Mino! rzekła, trzeba dłużéj zatrzymać się przy tym obrazie, żaden bowiem nie jest bardziéj godnym uwielbienia. Nigdy panie Duchesne nie zrobiłeś tak dobrze pomyślanego i wykonanego obrazu. Gdybym miała jaki wpływ u dworu: przydała z uśmiechem pełnym goryczy: wynagrodziłabym cię wspanialéj; lecz gdy tak nie jest, proszę cię abyś przyjął ten łańcuch złoty i nosił go na pamiątkę moją. Twój obraz jest zachwycającém dziełem.

Już odjęła łańcuch i dała go malarzowi, gdy w tém otworzyły się drzwi

i wszedł Poussin. Duchesne z gniewem spojrzał na niego; lecz to nie wstrzymało młodzieńca. Postąpił na przód, z uszanowaniem, lecz razem i ze śmiałością, a przyklęknąwszy przed królową, rzekł:

—»Gdyby Wasza Królewska Mość pozwoliła mi powtórzyć, albo sama raczyła powiedzieć autorowi tego obrazu, życzliwe słowa które wyszły z jéj ust monarszych, uczyniłaby go szczęśliwym i młody ten człowiek który wątpi o sobie, uczułby własne siły.

Anna Austryacka zerwała się z krzesła.

—»Nie ty więc mości Duchesne malowałeś ten obraz?

Duchesne z twarzą zapłonioną od wstydu i gniewu, odpowiedział:

—»Ten młodzieniec i jego towarzysz, pracują pod mojém przewodnictwem.

—»I przywłaszczasz sobie chwałę ich pracy! Nie dosyć że dla takiego człowieka jakim ty jesteś, że dosta-

niesz zapłatę? Tak więc, każdy rozumie że ma prawo szydzić sobie ze mnie! Ten łańcuch! oddaj mi ten łańauch! A ty młodzieńcze przyprowadź malarza twojego przyjaciela.

Mikołaj śpiesznie wypełnił rozkaz i w mgnieniu oka wrócił z Filipem.

Królowa uśmiechnęła się do nich.

—»Jesteś malarzem pełnym talentu i bezwstydnie przywłaszczają twoje zasługi, rzekła do Van Champagna; chcę cię wynagrodzić; pojedziecie ze mną do Fontainebleau; tam powierzę wam prace których sławy nikt wam nie ukradnie.

—»Jakże zdołam okazać wdzięczność moją Waszéj Królewskiéj Mości? rzekł Filip przyklękając.

W téjże chwili królowa krzyknęła, padła na ziemię i dostała gwałtownych konwulsyi.

—»Wyjdźcie! wyjdźcie! rzekły damy dworskie. Wyjdźcie! wasza niebaczność niestety! jest przyczyną te-

go przypadku. Wyjdź nieszczęśliwy młodzieńcze i nigdy nie pokazuj się przed obliczem królowéj

—»Lecz cóżem zrobił? zapytał się przerażony Filip.

—»Ta róża! ta róża, która była zatknięta w twoim kapeluszu! zawołała jedna z dam wyrzucając kwiat za okno.

—»Ta róża? powtórzył Filip nie rozumiejąc co to wszystko ma znaczyć.

—»Tak jest, mój sławny artysto: rzekł Duchesne: ta róża pozbawia cię tytułu malarza królowéj i karze was za wasze doniesienie. Możecie także bydź pewni, że wstęp do pałacu Luxemburgskiego jest na zawsze wzbroniony takim zuchwałym łotrom.

Nie pojmując téj całéj przygody, Filip i Mikołaj poszli do pomieszkania Kornela. Jakże się zdziwili, gdy zamiast poety otworzyła im młoda kobiéta:

—»Mój mąż wkrótce powróci, rzekła uprzejmie. I w téjże prawie chwi-

li wszedł Kornel z sporym workiem pieniędzy.

—»Witam was, moi przyjaciele,rzekł: widzicie jaki skarb zesłało mi niebo od czasu waszéj ostatniéj bytności; zaślubiłem tego anioła i wszystko mi się powodzi jakby cudem. Lecz mówię do was o mojém szczęściu, a widzę że jesteście smutni i stroskani; cóż się wam stało?

Poussin opowiedział całe zdarzenie.

—»O Boże! o Boże! cóż mi powiadacie? Co! Duchesne, ten którego kochałem jako przyjaciela i poważałem jako uczciwego człowieka, dopuścił się tak nikczemnego postępku! Czy podobna, ażeby znaleźli się ludzie z tak podłym charakterem! O Maryo! bez ciebie jużbym w nic nie wierzył, straciwszy wiarę w tym człowieku. No, mówił daléj, nie należy wątpić o cnocie, dla tego że ją kto zdradza; lecz smucę się, myśląc, że drobiazgowe zdarzenie niszczy dobre chęci królowéj i świe-

tną przyszłość, którą wróżyła wam jej opieka. Czy wiesz z jakiej przyczyny wpadła spazmy i zemdlała? Oto, że postrzegła różę która z twego kapelusza wypadła. Królowa zawsze dostaje takich napadów na widok róży. Lecz co się stało to już się nie odmieni; mówmy o czasie obecnym. Jakie macie zemiary, cóż będziecie robili?

—»Ja powrócę do Flandryi, rzekł Filip Van Champagne, znajdę w Rubensie opiekuna, który mię nie pozbawi chwały z prac moich.

—»A ja, przydał Poussin, pojadę do Włoch.

—»Na te podróże trzeba pieniędzy: rzekł Kornel poradziwszy się żony, jednym rzutem oka: a jeźli te pieniądze które dostałem od zarządzcy teatru...

—»Dziękujem ci, zacny przyjacielu; jesteśmy bogaci. Dostaliśmy kilka dukatów za nasze prace, a malowaniem zarobimy sobie, gdy nam zabraknie pieniędzy. Oprócz tego, jesteśmy zdrowi

i młodzi, nie przestrasza nas ubóstwo, jest to nasz dawny towarzysz.

—»I ja tak myślałem przed niedawnym czasem, lecz teraz zmienił się mój sposób widzenia: chcę oszczędzać i zostać bogatym, nie przez wzląd na mnie samego, lecz na nią.

—»Patrzcie jak zmyśla! przerwała Marya śmiejąc się: przed chwilą mówił do mnie, że niczego nie pragnie.

—»Dla siebie, prawda, lecz dla ciebie. O! gdybyście wiedzieli! jak pragnę żeby była szczęśliwą: przydał, a łzy szczęścia i miłości jaśniały w jego oczach.

—»Żona wielkiego Kornela, dobrego Kornela, jakżeby nie miała bydź szczęśliwą! odpowiedziała, przyciągając męża do siebie.

—»Idźmy Filipie! idźmy: zawołał Poussin; ponieważ los żąda naszego rozłączenia, mimo tego iż się tak czule kochamy! Idźmy, zdobądźmy chwałę, ażeby kochała nas piękna i dobra

żona. Idźmy, niechaj Bóg nam zjedna szczęśliwość i chwalebną przyszłość.

Niestety! Bóg wysłuchał tylko połowę proźby Mikołaja Poussin, gdyż przez całe życie, cierpienia i niesprawiedliwość ludzi, odpłacały mu za wyższość geniuszu jego i chwałę.

Henryk Berthoud.

OPOWIADANIE
MOJÉJ MATKI,
CZYLI
SKUTKI ZAZDROŚCI.
POWIEŚĆ
MICHAŁA RAJMOND.

OPOWIADANIE MOJEJ MATKI

czyli

SKUTKI ZAZDROŚCI.

---

25 Czerwca r. 1836, pięknego poranku, poszłam z moją matką na cmentarz Pere Lachaise. Tam spoczywa mój ojciec, o którego szlachetném sercu, pięknych talentach i czułém do nas przywiązaniu, tylekroć słyszałam od matki mojéj. Niestety! straciłam go będąc jeszcze bardzo młodą; nie czułam wtedy mojéj straty. Ośm lat upłynionych od jego śmierci i te dowody wdzięczności któremi uczczono pamięć mojego ojca, boleśnie dały mi uczuć jego stratę. Lecz jeźli mogę zawierzyć sercu mojemu, ta strata da się wynagrodzić. Tu na ziemi mam jeszcze matkę, a na łonie Bo-

ga, połączę się z moim ojcem. Szacunek współziomków zostawił po sobie w spuściźnie: dochowamy jéj święcie.

Szliśmy w milczeniu między grobami. Nareście w alei akacyowéj, postrzegliśmy obelisk otoczony krzakami róży; róże były ulubionym kwiatem mojego ojca.

Na odgłos naszych kroków, poruszyły się gałęzie ocieniające pomnik. Wstała kobiéta która klęczała przy nim, postrzegła nas i śpiesznie zarzuciła na twarz zasłonę, a potém szybkim krokiem i chwiejącym się od przestrachu, uniknęła spotkania się z nami i znikła pośród okolicznych pomników i cyprysów.

»Wiktorya prawdę mówiła« rzekła moja matka po cichu, jakby sama do siebie.

Gdym chciała uczynić uwagę, matka wyciągnęła rękę, i oczy moje zwróciły się na ten napis grobowy:

TU SPOCZYWA
JAN CHRZCICIEL HENRYK VERNEUIL
ZMARŁY X GRUDNIA MDCCCXIII
DUSZA JEGO JEST Z BOGIEM
MÓDLCIE SIĘ ZA TYCH CO GO [illegible]ZEŻYLI.

Po krótkiéj modlitwie lecz z serca pochodzącéj, usiadłyśmy na ławeczce z darniny i milczały. Po kilku chwilach, matka moja uchyliła krzak kaprifolium i z wrytém sporzeniem, z bijącą piersią, powtórzyła, nie myśląc o mojéj obecności:

»Wiktorya nie omyliła się, to Cecylia.«

Powodowana razem przywiązaniem do matki i czułością, ośmieliłam się zapytać o znaczenie tych wyrazów. — Matka zadosyć uczyniła żądaniu mojemu, przytaczam jéj opowiadanie.

Jesteś już w tym wieku Paulino; iż mogę ci powierzyć wspomnienie, któ-

re obudził we mnie widok téj kobiéty, mojéj piérwszéj przyjaciołki.

Było to w roku 1814, miałam lat dziewiętnaście, a dziś gdy już mam drugie tyle, mogę powiedzieć że byłam ładną, bardzo ładną. Mój ojciec, Honoryusz Duclos, zajmował za rządów Napoleona, urząd nie głośny lecz zyskowny, w jednéj z gałęzi ministerstwa skarbu. Powrót Burbonów pozbawił go tego urzędu: mógł bez przykrości znieść tę stratę, gdyż posiadał przeszło dwadzieścia tysięcy franków dochodu.

Podczas wkroczenia wojsk sprzymierzonych do Francyi, znajdowałam się razem z moją matką, w wiosce, do któréj już się zbliżały też wojska. Groziło nam wielkie niebezpieczeństwo; uratował nas kapitan jazdy, imieniem Milleret. Osłonił oddziałem swoim zagrożoną wioskę i przez to dał nam czas ujechać do Paryża.

Po abdykacyi Napoleona, Milleret wziął dymissyą i osiadł w Paryżu. Mój ojciec powodowany wdzięcznością, póty nalegał, dopóki kapitan nie wprowadził się jako lokator do naszego domu.

Stary żołnierz z jego szwadronu był jego sługą. Józef był pojętny i wierny, wystarczył do usłużenia panu, oporządzenia konia i oczyszczenia karykla.

Kapitan miał lat trzydzieści trzy, był wysokim i przystojnym mężczyzną, cerę miał ogorzałą, minę nieco wyniosłą. Na piérwszy rzut oka, dosyć mi się podobał. Obydwa, on i mój ojciec, żałowali Napoleona i ta okoliczność utrzymywała najlepsze między niemi porozumienie. Obejście kapitana, nacechowane życiem obozowém, potrzebowało znacznéj ogłady; podjęłam się tego starania

Nie można bezkarnie wywierać wpływu na młodych mężczyzn. Wkrótce

Millcret usiłował mi się podobać. Dosyć dobrze malowałam krajobrazy, chciał uczyć się rysunków; nie źle grałam na fortepianie, on kupił skrzypce. Na wieczorze u jednéj z moich przyjaciołek z pensyi, Cecylii Lambert, któréj rodzice mieszkali na przedmieściu Paryża, okazał się bardzo złym tancerzem, lecz bardzo uprzejmym i niesprawanym. Jego przystojna postać i otwarte obejście się, zyskały mu przychylność wszystkich naszych znajomych. Moje przyjaciółki wiele mi o nim mówiły; a ja zaś mówiłam o nim bez niechęci.

Pewnego dnia, w ogrodzie, gdy pochylona ku panu Milleret, wzięłam jego ołówek łącząc radę i przykład, matka moja do mnie rzekła z uśmiechem:

—»Zdaje mi się Julio, że kapitan czyni postępy.

Nazajutrz kapitan poprosił o rękę moją.

Kapitan nie miał ani braci ani siostr, a nasze rodzeństwo było wtedy dość liczne. — Brat mój nie chciał zająć się spekulacyami do których namawiał go mój ojciec i oddawał się literaturze. P. Milleret poprosił moich rodziców, ażeby raczyli przyjąć biédnego żołnierza do swojéj familii, i złożył w ręce mego ojca, ośmdziesiąt tysięcy franków, które miały bydź moim posagiem. Tak się wysłowił. Rodzice chętnie przystali na jego żądanie.

Od tego dnia, byliśmy uważani, pan Milleret i ja jako narzeczeni: i tylko trzeba było ułatwić przedwstępne formalności, a tymczasem kapitan przesiadał u nas od rana do wieczora i proszony był na wszystkie wieczory, dawane w domu rodziców Cecylii Lambert.

Pewnego poranku gdyśmy siedzieli przy śniadaniu w pokoju mego ojca, weszła Wiktorya, twoja bona, a wówczas zostająca w służbie u państwa Lam-

bert, i przyniosła nam list od Cecylii.

»Jeżeli nie będziesz u nas dziś w po-
»łudnie, możesz się uważać za najgor-
»szą nieprzyjaciółkę twojéj najlepszéj
»przyjaciółki Cecylii.«

—»Cóż tam będzie, Wiktoryo? zapytała się moja matka.

—»Ach pani! to pan Henryk Verneuil spadł do nas jak piorun z nieba. Wystawcie sobie, że jest czarny jak murzyn, a zdrów jak ryba. Spodziewam się że już nie powróci do Konstantynopola, do tego niegodziwego kraju, który psuje cerę, a on miał ją białą jak śnieg. Czy to się godzi wysyłać tak daleko młodych ludzi? Lecz cóż mam powiedzieć pannie Cecylii?

—»Moja córka przyjdzie: żywo odpowiedział mój ojciec.

Wiktorya ukłoniła się i wyszła.

Wiadomość ta musiała zrządzić jakąś widoczną zmianę w naszych fizyonomiach; ja doznałam tylko wzruszenia

będącego skutkiem ciekawości. Ojciec mój bardzo się ucieszył.

—»Któż to jest ten pan Henryk? zapytał się kapitan głosem nieco zmienionym.

—»Jest to, odpowiedział mój ojciec, młody lekarz, człowiek jak największych nadziei, mający lat dwadzieścia cztery. Napoleon wysłał go do krajów tureckich przed trzema laty. Polecił mu rozpoznać symptomata febry żółtéj.

—»Czy służył w wojsku? zapytał się Milleret.

—»Więcéj uczynił, zawołałam z mocą, odpowiadając na szyderczy ton kapitana; z własnéj woli narażał się na niebezpieczeństwa, których najmężniejsi unikają. Odwaga, panie Milleret, okazuje się i rozwija nie na samym polu bitwy. Nie każda kula zabije; lecz zaraza roznosi śmierć za każdém tchnieniem i zetknięciem. Henryk walczył z zarazą i wszędzie ją pokonał.

Widząc mój zapał, zapłonił się kapitan.

—»Znasz zapewne tego szczęśliwego rycerza, rzekł wpatrując się we mnie czarnemi oczyma?

Zmieszałam się.

—»Wcale nie, rzekła moja matka, lecz dosyć było czytać listy Henryka do jego kuzynki, żeby zająć się tym młodym człowiekiem tak skromnym, tak łagodnym i tak odważnym; posiadającym razem moc duszy i dobroć; będzie on skarbem dla familii któréj naczelnikiem zostanie i dla kobiéty która godną będzie jego ręki. Nigdy nie wspomina o niebezpieczeństwach podróży swojéj, o dobrém które wyświadczył, o mocy duszy która go cechuje; a gdyby nie listy pana Stefana Lalzani towarzysza jego podróży, Cecylia i my wszyscy nie umielibyśmy poznać go i ocenić.

—»Jest to w rzeczy saméj dyplomatyka, pomruknął kapitan.

Zapłonęłam się na te wyrazy, którym towarzyszyło osobliwsze spojrzenie. Czyliż uczuł zazdrość o jedno słowo? pomyślałam sobie. Czyliż mój zapał obraził jego miłość własną. Poskramiając mocne bicie serca i widząc że kapitan zaczyna w milczeniu przechadzać się po pokoju, uwiadomiłam go, udając że tylko mówię do jego matki, o kilku szczegółach dotyczących się naszej familii.

Cecylia była o pięć lat starszą ode mnie. Jej ojciec i mój żyli z sobą w przyjaźni i mieli różne interesa. Dawno Cecylia ofiarowała mi przyjaźń swoją. Po śmierci ojca, Cecylia zostawała pod opieką wuja, razem z Henrykiem Verneuil swoim kuzynem. Byłyśmy na téj saméj pensyi i łączyła nas coraz to ściślejsza przyjaźń. Czas wakacyi przepędzaliśmy w Turenii przy wuju. W godzinach wolnych od lekcyi, na przechadzce, zawsze mówiła mi o swoim kuzynie Henryku. Był to dla

niéj niewyczerpany przedmiot rozmowy. Henryk był mężulkiem Cecylii, Cecylia żoneczką Henryka. Zajmowały mię te dziecińśtwa. Pamiętam, jak pewnego razu, mój brat Fryderyk, za każdém słowem słysząc pochwały pięknéj duszy, szlachetnego postępowania, odwagi, czego bądź wreście. Cecylia powtarzała: »To jak mój kuzyn.«

Rodzice moi znali i lubili Henryka. Bez ustanku wystawiali go za przykład memu bratu, który przez to samo powziął ku niemu jakąś niechęć. Wiele rzeczy przez to samo przyjdzie do skutku iż się niemi długo zajmowano. — W r. 1820, Cecylia i Henryk doszli do pełnoletności; a mimo zarzutów ich ojca, który uważał iż Cecylia z czasem będzie za starą dla Henryka, a Henryk zbyt młodym dla Cecylii, oboje mogąc rozrządzać swoją osobą i majątkiem, umyślili połączyć się związ-

kiem małżeńskim. Ja trzymałam stronę Cecylii.

Lecz podczas pożaru, który wybuchnął na balu u księcia Szwarzenberga, Henryk okazał w oczach Napoleona tyle przytomności umysłu i zimnéj krwi, iż zwrócił na siebie jego uwagę. Cesarz dowiedziawszy się iż się sposobił na lekarza, wysłał go do krain wschodnich, razem w lekarskim i dyplomatycznym celu. Niepodobna było odmówić. Po tysiącu przysiąg i po wylaniu potoków łez, rozstali się kochankowie.

Listy Henryka uprzyjemniały i pocieszały tęsknotę Cecylii; były to opisy podróży, wycieczki do baszostw Azyi Mniejszéj, karawany w pustyniach Syryi, wypoczynki u podnóża Piramid, tam właśnie, gdzie tyfus albo febra żółta wytępiała ludność; dodajmy do tego dzikie hordy, codzienne niebezpieństwa, choroby. Cecylia umierała z przestrachu i dopiéro wte-

dy przebaczyła wujowi tak okrutne rozłączenie, gdy starzec przy zgonie zawołał ją do swego łoża i dał jéj ostatnie błogosławieństwo. I on także z żalem rozstał się z tym światem, gdyż kochał swego synowca jak syna i wymawiał sobie jego oddalenie.

Zawsze pamiętać będę o liście, podpisanym Stefano Lalzani, który doszedł do nas pokłóty, przesiąkły octem, datowany z Alexandryi w Egipcie. Ten Stefano był to młody lekarz z Medyolanu; stosunki wieku i powołania złączyły go z Henrykiem; kochali się jak bracia. List ten obejmujący okropne szczegóły o ich położeniu, przeraził nas niezmiernie. Nie wspomnieliśmy o nim przed Cecylią.

Lecz krótko trwała nasza niespokojność i od tego czasu mój ojciec i Cecylia otrzymali kilkanaście listów od tych dwóch przyjaciół, pisanych zapewne ukradkiem jeden przed drugim: tak dalece bowiem każdy z nich chwą-

lił swego towarzysza, jak gdyby był jego biografem.

Miłość Cecylii wzmagała się jeszcze: przez tysiączne opóźnienia téj nieszczęsnej podróży. Młody lekarz kilkakrotnie oznajmił swój powrót; lecz Anglicy krążyli po morzu środziemném, a w takiéj odległości i w takich krajach, nie można rozrządzać wypadkami; trzeba im uledz.

Nareście przyjechał Henryk: jak piorun z nieba, podług wyrażenia Wiktoryi: jest to wielkie zdarzenie dla mnie co go nie znam, dla moich rodziców, których rozmowa tak obojętna zazwyczaj, ożywia się gdy o nim wspomną i dla Cecylii, która zapewne szaleje z radości. Lecz to nasze zajęcie musiało zdziwić pana Milleret; poznałam także iż objaśnienia nie zawsze dopną swego celu.

Rzadko zdarza się, abyśmy w rozmowie zawsze pamiętali o zamierzonym celu, ponieważ odpowiedzi i przerwy

ustawiczne, niezmiernie przedłużają drogę, a prócz tego nie posiadam wielkiéj zręczności. Nie pamiętałam na przykład mego brata, w którym wzbudziły niechęć ku Henrykowi nieustanne jego wychwalania; gadałam jak roztrzepana dziewczyna, gadałam tak, żem nawet nie mogła zatrzymać się na śliskim gruncie pochwał, gdym postrzegła iż zupełnie przeciwne wrażenie słowa moje uczyniły na kapitanie.

Milleret nie wmieszał się ani razu do rozmowy i milcząc przechadzał się po pokoju, gdy ja przypominałam mojéj matce te wszystkie okoliczności, które od niéj saméj słyszałam. Ojciec słuchał mię bez przerywania; gadatliwi przedewszystkiém powinni lękać się milczenia słuchaczów.

Lecz z drugiéj strony, to samo dopomogło mi do wyjścia z kłopotu. Niech się Milleret gniewa do woli, skoro tak jest dziwnym, pomyślałam.

I poszłam się ubierać.

Spodziewałam się iż mię odprowadzi kapitan, i on to chciał uczynić, gdy w tém wchodząc do pokoju, usłyszałam odpowiedź mojego ojca.

—»Lecz zapomniałeś, kochany Milleret; a nasza bytność u notaryusza?

Jakoż szło w rzeczy saméj o napisanie intercyzy; do téj rzeczy nie była potrzebna moja obecność. Miałam ją tylko podpisać, gdy już będzie gotowa. Kapitan usłuchał mego ojca. I obracając się do mnie, gdy mój ojciec porządkował papiery:

—»Czy pozwolisz ażebym przyszedł po ciebie, rzekł wzruszonym głosem.

—»Dla czegóż zostawiasz mi wybór pozwolenia lub odmówienia?

Wahał się.

—»Bo nie wiem czy powinienem z takim pośpiechem biedz dla zobaczenia tego zjawiska, które przybywa do nas ze wschodu, jak słońce.

—»Nikt ci nie wyrówna kapitanie, gdy chcesz się dąsać.

8*

—»Bynajmniéj, pochlebiasz mi Julio.

—»A więc zaniechaj twoich skrupułów, gdyż w tym wszystkim widzę tylko zaproszenie mojéj najlepszéj przyjaciółki i zdarzenie którego powinnam jéj najpiérwsza powinszować. Chceszli mię wystawić na śmieszność? zostanę.

Mój ojciec niecierpliwił się; pan Milleret pocałował mię w rękę: chmura przeszła: wyszli obydwa.

—»A więc będę musiała pójśdź sama, rzekłam do matki.

—»Kapitan dogoni ciebie, rzekła całując mię w czoło. Bogu niech będą dzięki że idziesz za mąż, gdyż ten nic dobrego Fryderyk, zapewne jest zajęty swojemi miłostkami. A gdy nie można rachować na towarzystwo brata, nie źle jest mieć do naszego rozrządzenia rękę męża. Powiedz panu Henrykowi iż go z radością ujrzymy, i tym razem spodziewam się Fryderyk nie będzie go unikał.

Wyszłam. Prześliczny był dzień. Była to pora roku w której słońce rozwija wszędzie kwiaty i owoce. Powietrze jest gorętsze, cień gęstszy. Na płaszczyznach żółtym zbożem pokrytych, wiatr lekki kołysze fale dojrzałych kłosów.

Józef zaprzągł do karykla i czekał na mnie. W mgnieniu oka zawiózł mię do pomieszkania Cecylii.

Zastałam w ogrodzie liczne towarzystwo.

Im dłużéj będziesz żyła Paulino, tém bardziéj pczekonasz się, jak mało mają wartości rzeczywistéj, te pierwowzory fizyonomii, którym wielcy malarze starożytnéj szkoły nadają geometryczną proporcyą. Ci których nie kochamy, nie mają zupełnéj piękności: i dla tego to kobiéty, zazdroszcząc jedna drugiéj, z taką radością wymieniają rys szpecący piękne oblicze. Podobnież ci, których kochamy, nie mogą bydź zupełnie szpetni w naszych oczach. Ujrza-

wszy twego ojca, uczułam prawie niejaką dumę, żem wybrała kapitana.

Ażeby mieć tę pewność, że oczy pana Verneuil jaśniały dowcipem i dobrocią, iż czułość cechująca jego listy, może objawiać się w jego mówie i obejściu, trzeba było wpatrzyć się w niego z większą uwagą i zajęciem, niżeli mogłam to uczynić, mając w świeżéj pamięci męzkie i kwitnące oblicze kapitana. Widziałam tylko twarz ogorzałą od zwrotnikowych upałów i bardzo zaspokajającą tego nawet, ktoby w każdym chciał upatrywać rywala. Wyobraźnia moja spodziewała się że ujrzy jednego z bohatérów wyzwolonéj Jerozolimy Tassa i obudziła się jak ze snu. Nasze spotkanie było przeto tém bardziéj poufałe.

Henryk Verneuil siedział pośród grona przyjaciołek naszych z pensyi i dawnych swoich towarzyszów, sprowadzonych wiadomością o jego powrocie. Moja obecność powiększyła ich radość.

—»Jesteśmy staremi przyjaciołmi, chociaż się dopiero piérwszy raz widzimy: rzekł do mnie. Ta dobra Cecylia, przydał, łącząc rękę mojéj kuzynki z moją; musiała tak mówić o mnie jak mnie mówiła o tobie. Wyobrażałem sobie że jesteś bardzo ładna, lecz rzeczywistość przechodzi wyobraźnią.

Mogłam toż samo jemu powiedziéć, lecz prawda nie byłaby dla niego pochlebną.

Znowu otoczono go, słuchając opisu dziwacznych zwyczajów rozmaitych ludów które zwiedził, ich zajadłych wojen, a zwłaszcza ich miłostek tak poetycznych. Henryk opowiadał z umiarkowaniem; musiano na niego nalegać prawie: był to wykład nowożytnéj jeografii i historyi. W tych nieskończonych postępach, odpowiadając uprzejmie na pytania nasze, ubarwiał malownemi obrazami podróż swoją. Verneuil wyczerpał swój zbiór notatek, bez wyczerpnienia ciekawości naszéj. Łzy nie-

raz zwilżyły nam powieki; nieraz powstawały głośne wybuchy śmiechu. — Ciągle zajmowało nas to opowiadanie, tém obfitsze im się bardziéj oddalało od źródła, jak wielkie rzeki wpadające do morza. Byłabym go słuchała bez przrwy przez lat dziesięć.

Biorę was wszystkich za świadka, zawołała Cecylia (przerywając nam pośród rozrzewniającéj przygody) iż moja przyjaciółka Julia, dozwala aby ją co chwila ściskano za rękę.

W istocie, wcale nie zważałam na to. Dla opuszczenia Egiptu i Azyi zaczęliśmy biegać po ogrodzie i tańczyć. Henryk był najweselszym ze wszystkich, zdawało się iż tylko co opuścił ławki szkolne. Zrywaliśmy kwiaty, rzucaliśmy jedni na drugich, gonili się, uciekali. Podczas takich zabaw, okazuje się szczególne upodobanie jednéj osoby do drugiéj. Postrzegłam że Henryk zawsze dał się doścignąć gdym biegła za nim, i nawzajem, za-

wsze mię doścignął gdym uciekała. Zdawało mi się także, iż Cecylia na oko śmiejąc się z zalotności swego kuzyna, przygryzała sobie usta aż do krwi. — Udałam żé jestem znużona i usiadłam przy niéj. Cecylia już się nie bawiła: lecz było to winą Henryka.

Wkrótce przyszedł do nas, trzymając w ręku dwie róże. Piękniejsza była od strony mojéj przyjaciółki, lecz w chwili gdyśmy obie wyciągnęły ręce po te kwiaty, tak prędko skrzyżował swoje, iż Cecylia schwyciła różę którą ja wziąść miałam i wbrew życzeniu memu dostało mi się piérwszeństwo. Przykra była ta zbyteczna psota, gdyż w podobnych okolicznościach, płeć nasza zważa na wszystko. Panna Lambert zmieszana nieco, upuszczając pogardliwie różę, powinszowała swemu kuzynowi tonem tak szyderczym jego gustu w wyborze, iż musiałam do siebie zastósować ubliżenie zwracające się na pozór do kwiatu. Nikt jak są-

dzę, a tém mniéj Henryk, nie zważał na tę okoliczność; lecz ja, wzruszona niezmiernie, korzystając z wrzawy która zaczęła nas otaczać, powoli poszłam do pobliskiéj altanki i oparłam się o poręcz jéj schodków. Pogrążona w myślach, nie wiedziałam czy odejśdź czy zostać. W tém uczułam że ktoś z tyłu objął moją kibić i w téjże chwili brzęk ostróg dał się słyszéć w alei.

Henryk mówił do mnie wesoło:

—»Uciekasz więc przedemną, o czémże dumasz?

Kapitan Milleret stał naprzeciw nas, przy szklannych drzwiach altany.

Są nieporozumienia których nigdy wyjaśnić nie można; takie zaszło, jedno między mną i Cecylią, drugie między mną i kapitanem. Nie mogłam zapobiedz temu nieszczęściu.

Przypomniałam sobie długą i nietrafną pochwałę moją dzisiejszego poranku i to doświadczenie zamknęło mi usta. Wolałam zdać się na los.

Pan Milleret zimno się nam ukłonił i zszedł ze schodków.

—»Panna Cecylia Lambert? rzekł do Henryka.

—»Nie, to moja kuzynka, odpowiedział roztrzepany, ciągle trzymając mię pod rękę.

—»A, mówił daléj kapitan zwracając na mnie spojrzenie; a pan jesteś jéj kuzynem?

—»Podług najprostszych prawideł loiki.

To rzekłszy Henryk, ukłonił się.

Zapytanie kapitana, na pozór proste, było w istocie zdradliwą uwagą, którą przeciw mnie wymierzył; niegrzeczna odpowiedź Henryka nie uderzyła go zrazu gdyż był zajęty innemi myślami. Doznałam uczucia gniewu i obawy. Zapłonęłam się jak gdybym była winna. Sądziłam, że nie mogę w téj chwili, bez ubliżenia saméj, sobie przedstawić P. Milleret panu Verneuil, jako mego narzeczonego. Milleret milczał oziębły i ponury; u-

śmiech okazywał się na ustach Henryka. Nie oddalił się odemnie. Na szczęście, Cecylia Lambert i reszta osób zeszły się do nas i wówczas dopiéro usłyszałam ostatnie dzwonienie na obiad.

Henryk uwiadomiony o stosunkach zachodzących między mną i kapitanem, mimo tego nie zaniechał ciągle bydź przy mnie i za to wdzięczną mu byłam. On to zaprowadził mię do stołu, a Milleret podał rękę Cecylii.

Przy obiedzie, zwykle zawiesza się niechęć i uraza. Obejście młodego lekarza tak było uprzejme, iż się wkrótce rozmowa ożywiła. Przy desserze, Milleret opowiedział nam, iż dnia wczorajszego dał sto luidorów Grekowi, biédnemu Fanariocie, którego w piérwszych dniach wzięcia Paryża, pewien generał angielski uwięzić kazał i wydarł mu jedynaczkę córkę, podporę jego starości. Podzielaliśmy oburzenie kapitana; lecz na wzmiankę nazwiska Nikitas, które dopiéro przy końcu przy-

pomniał sobie Milleret, Henryk parsknął głośnym śmiechem.

—»Dalibóg kapitanie, wybornie cię złapano, rzekł; gdyby mój towarzysz Stefano Lalzani był razem z nami, powiedziałby ci, że ten Nikitas jest jednym z największych oszustów greckich. W Konstantynopolu w r. 1812, skłonił mego przyjaciela, do wyrwania z rąk pewnego bogatego muzułmana, córki swojéj którą mu tenże był wydarł. Wyprawa ta, zniewoliła nas do ucieczki z stolicy państwa tureckiego, a w parę tygodni potém, przybywszy do Saloniki, ten sam Grek chciał mi sprzedać tę samą dziewczynę, udając ją za niewolnicę czerkieską. Tym sposobem, Greczynka ta, zawsze przedawana, uciekała do ojca, pewnie nie z próżnemi rękoma. Widzę że to jest moje przeznaczenie, ażebym wszędzie słyszał o tym oszuście i spotykał jego ofiary.

Na to opowiadanie, zmarszczył się kapitan; wszyscy śmieli się głośno, on

zaś, nie wiem dla czego, obraził się tym śmiechem, zamiast wyznać po prostu iż go oszukał Greczyn, tém bardziéj, że to oszukanie czyniło zaszczyt jego sercu.

—»To prawda żem sobie postąpił jak głupiec, rzekł przytłumionym głosem.

Postawił kieliszek na stole, z drżeniem które nie uszło mojéj uwagi.

— »Nie mówiłem tego, kapitanie: odezwał się Henryk; byłoby to ubliżeniem wielu zacnym ludziom, którzy nie pamiętają o rachubie, gdy kto wzruszy ich serce.

Cecylia wstając od stołu przerwała tę rozmowę; poszliśmy do salonu na kawę; przyszli nowi goście i dowiedzieliśmy się, że na murawie przed domem urządzono tańce w ogrodzie, dla uwieńczenia téj niespodzianéj zabawy. Zwracając wspomnienia moje do téj epoki, zdaje mi się iż bardziéj pragnęłam wrócić do domu niżeli pozostać na wieczorze. Miałam

jakieś smutne przeczucie. Kapitan upatrzywszy chwilę gdym była sama, zbliżył się i rzekł tonem trudnym do opisania, gdyż razem zakrawał na prożbę i rozkaz, lecz bardziéj na rozkaz niżeli na proźbę.

—»Tańczyć będziesz ze mną Julio.

— »Co! przez cały wieczór kapitanie.

—»O! nie jestem tak srogi, byłaby to łaska.

—»Ponieważ prosisz tylko o piérwszy taniec, przerwałam z uśmiechem.

Podałam mu rękę i wypogodziła się twarz jego. Podczas téj ulotnéj zamiany wyrazów między mną i kapitanem Milleret, nasze przyjaciółki poprawiały włosy i suknie przed zwierciadłem w salonie. Henryk biegał od jednéj do drugiéj, wesoły i żywy i dokuczał swojéj kuzynce tak, że aż jéj oczy błyszczały od radości. Pokój, pokój serdeczny i wesoły panował wszędzie.

W chwili gdy orkiestra dała hasło do tańca, tłumem wszyscy wybiegli do ogrodu. Nie można było utrzymać porządku. W tém zamieszaniu napróżno szukałam kapitana, czyjaś ręka schwyciła moją i poprowadziła mię. Wszyscy wybrali na los, tancerzy i tancerki. Rozumiałam że Milleret uczynił toż samo i stanęłam do tańca z Henrykiem.

Wśród kontradansu, głos kapitana oschły i drżący, wskróś mię przeniknął.

— »Ze mną tylko możesz tańczyć panno Julio.

— „A to dla czego? proszę pana, rzekł Henryk obracając się.

—»Mówię do panny Julii, odpowiedział zimno kapitan, patrząc przez ramię.

—»Ach! to rzecz okropna, rzekłam do kapitana żywo schwyciwszy go za rękę. I obracając mowę do Henryka:

—»Na Boga, rzekłam, nie nastręczaj mu powodu.

Henryk zrozumiał co znaczy moje spojrzenie i ustąpił. Milleret zajął jego miejsce, dumny i zadowolony; ja cierpiałam niezmiernie. Było to niedorzeczne nadużywanie swojego prawa, coś tak nieznośnego, że sama nie wiedziałam co robię, chociaż nic nie było widać na mojéj twarzy i chociaż ani razu nie pomieszałam tańca, stąpając mimo wiedzy za dźwiękiem muzyki. Ileż to razy coś podobnego dzieje się w sercu naszém, gdy udajem że się bawiemy.

Nareście ustał taniec i muzyka, a Milleret odprowadzając mię do ławek ustawionych pod klombami, ukłonił mi się z miną zadowoloną, na pół zuchwałą na pół skromuą i rzekł do mnie ten tylko jeden wyraz, bardziéj obrażający i głupszy, niżeli sobie sam wyobrażał.

—»Teraz!..

—»Teraz mogę tańczyć z kim zechcę, nie prawdaż?

Ukłonem odpowiedział na szyderczy ton mojego zapytania. Oddalił się, a ja spojrzeniem przyzwałam Henryka, żeby wynadgrodzić ubliżenie którego doznał ze strony kapitana. Czyliż nie powinnam była ułagodzić pana Verneuil? Takie było moje mniemanie; może też łączyła się z niém chęć utrzymania kapitana w obrębach karności; gdyż słyszałam od mojéj matki, że nasza władza zależy od piérwszéj chwili małżeńskiego pożycia.

Drugiego kontradansa tańczyłam z Henrykiem. Milleret nie przerwał naszéj zabawy. Uciecha oddaliła odemnie smutne myśli; i długo potém, tańczyłam z zapałem właściwym mojemu wiekowi, gdy łoskot stłuczonego szkła w salonie, doszedł aż do nas. Zatrzymały się tańce, ucichła muzyka, a kilku z młodzieży zbiegło śpiesznie ze schodów krużganku.

—»To nic! zawołał Verneuil wychylając się przez balustradę, to tylko stłukłem zwierciadło.

»Jakim sposobem? zawołali wszyscy.

—»Przypadkiem.

Mężczyzni z pośpiechem wrócili do tańca; zdawało mi się, że głośném udawaniem zabawy chcą ją ożywić i pokryć co się stało; zdawało mi się że na ich twarzach czytam że byli świadkami ciężkiéj zniewagi; lecz nie mogłam sprawdzić moich domysłów. Może téż łudziła mię wyobraźnia moja, gdyż Henryk i Milleret okazali się pośród nas, weselsi i swobodniejsi nawet, niżeli do tego czasu. Byłam zamyślona. Jakieś gorzkie uczucie powstało w mojém sercu, i nie dozwalało mi podzielać powszechnéj wesołości. Byłabym płakała, gdybym dobrze wiedziała dla czego mam płakać. Przejęta smutkiem, weszłam szybko w ciemne aleje ogrodu i daleko od dźwięku muzyki i wrzawy tańcujących; oparłam się na grzywie lwa żelaznego, z którego paszczy sączył się mały stru-

myk wody, wpadającéj w łoże kamienne, gdzie hodowano kwiaty wodne. Modliłam się Paulino, pogrążona w dumaniu, które zupełnie oderwało mię od ziemi.

Gdym znowu zebrała myśli moje, już nie było słychać ani dźwięku muzyki, ani odgłosu tańca. Światła już zgasły. Któraż to godzina? zawołałam. W téj chwili, Cecylia z pochodnią w ręku wołała na mnie; jéj głos wyrażał przyjaźń i obawę. Pobiegłam do niéj, uspokoiłam ją i uściskałam stokrotnie.

—»Ach! rzekła do mnie; gdym widziała w salonie twoją chusteczkę i kapelusz, a wszyscy już odeszli....

—»Wszyscy! zawołałam, a kapitan?

—»Kapitan? nie widziałam go od dwóch godzin. Już jest północ.

—»O Boże! cóż pomyśli matka moja?

—»Pomyśli żeś została u mnie. Poślę z uwiadomieniem.

—»Nie; matka wystawiałaby sobie iż mię spotkał jaki przypadek. Muszę ją

widzieć Cecylio; muszę ją uściskać. Nie wiesz co mówił kapitan?

—»Może sądził żeś już pojechała! Słuchaj mię Julio; zdaje mi się, żeście się trochę poróżnili z kapitanem? Bądź szczera.

—Czyliż widać było że się gniewa?

—»Jakże nie!

—»Pojechał już od dwóch godzin i to bezemnie! Nie mogę pojąć tego postępowania. Moja matka będzie niezmiernie niespokojna;

Wtém wszedł Henryk Verneuil.

—»Matka pani uspokoi się wkrótce. Odprowadzę panią.« To mówiąc brał rękawiczki i kapelusz. Cecylia zbladła i zadrżała. Daremnie opierała się tému zamiarowi. Henryk oświadczył że musi wrócić do miasta; że ma interesa nazajutrz rano. Obawa i zazdrość udręczały jéj serce. Chciałam zostać, chciałam iśdź sama; Henryk uporczywie obstawał przy swojém. Nareście

Cecylia, z oschłym śmiechem i odpychając mię prawie, kazała Wiktoryi wziąźć latarnią i pójśdź z nami. Uległam jéj woli, widząc iż mój opór uczyniłby nasze położenie jeszcze draźliwszém.

Henryk szybko szedł ze mną z początku, lecz ciemność, znużenie i kamienista droga, zniewoliły nas do zwolnienia kroków.

Cecylia gniewać się będzie: rzekłam wówczas; bardzo ją obraziłeś.

—»Cecylia jest niedorzeczną. Czyliż wypada, żebym zawdzięczając twojéj familii za tyle dowodów życzliwości, zostawił ich w niepewności o twoim losie? Czyliż także mogłem pozwolić, żebyś sama wśród nocy przebiegła tak daleką drogę i narażała się na zaczepki pijaków? Cecylia nie ma sensu.

—»I owszem, lecz cię bardzo kocha: odpowiedziałam z zapałem; powinieneś przebaczyć jéj winę, jeźli ją popełniła, przez wzgląd na uczucie któ-

re nią powoduje. Uczucie to jest niewyczerpane, namiętne, prawdziwe. — Przypominam sobie jaką niespokojność wzbudzały w niéj twoje listy, zwłaszcza ieden który był nie twoją ręką pisany. Nie, przydałam z mocą, Cecylia nie jest niedorzeczną. Nie byłbyś tak niesprawiedliwy, gdybyś znał panie Henryku jéj miłość, nigdy nie zachwianą.

Henryk nie odpowiedział i po długiém milczeniu rzekł:

—»Idziesz za mąż; kapitan jest przystojnym mężczyzną; przydał wahając się: odważnym; nie prawdaż? Wyobrażam sobie, że tak dobre ma serce i charakter jak ty. Wasze pożycie będzie szczęśliwe, jesteś bowiem tak młoda i tak łagodna.

—»Spodziewam się tego, odpowiedziałam nieśmiało. Milleret lubi życie proste i spokojne; kocha go mój ojciec; jest bardzo uprzejmym dla mo-

jéj matki; jego zaś odwagę poświadcza ośmnaście lat służby wojskowéj.

—»Ośmnaście lat? zawołał Henryk zatrzymując się. Lecz ty Julio ledwie masz lat ośmnaście.

Spuściłam oczy i rzekłam: »Moja matka utrzymuje, że dla równowagi charakterów, mąż powinien bydź przynajmniéj o kilka lat starszym od żony.«

—»I ja tak sądzę, odpowiedział narzeczony Cecylii, idąc daléj.

Odpowiedź moja była bardzo nietrafna. Cecylia słusznie przeczuwała, że jéj zaszkodzę. Szczęściem dla mojéj spokojności, już nie było mowy o tym przedmiocie, lecz o rozmaitych szczegółach podróży i przygód Henryka. — Zajmowała mię jego rozmowa; gdy wtém nagle ujrzałam przed nami karykiel i wysiadł z niego kapitan Milleret.

—»Proszę oświadczyć moje uszanowanie rodzicom pani: rzekł Henryk; wątpię czy będę mógł odwiedzieć ich dnia jutrzejszego.

Józef skoczył przytrzymać konia, a kapitan usunął się ustępując dla mnie miejsca. Scisnęło się serce moje, przeczuwałam jakiś zaród nieprzyjaźni. Obydwa dopomogli mi wsiąśdź do karykla; wzajemnie się ukłonili sobie, kapitan usiadł przy mnie i znikła moja obawa. Przy świetle latarni postrzegłam, iż Henryk Verneuil zamiast wrócić się, szedł ku Paryżowi. Gdyśmy dojechali do rogatek, cisza i samotność panowała na ulicach.

—»Jesteś bardzo grzecznym kapitanie, i miałam powód rachować na ciebie.

—»Gdybym nie był sądził żeś odeszła, nie byłbym sam odszedł. Nie obwiniaj mię o to nieporozumienie.

—»Powiedz jeszcze, że to z mojej woli wynikło.

— »Nie czyńmy sobie wyrzutów, rzekł.

Koń pędził jak wiatr i za chwilę stanęliśmy przed domem.

—»Przez wzgląd na siebie samą i na mnie, rzekł Milleret po cichu, proszę cię nie wspominaj przed rodzicami o mojéj niespokojności; jadąc po ciebie, zostawiłem ich w zaufaniu którego sam nie czułem.

Matka postrzegła że jestem w kwaśnym humorze, wniosła że znużenie i senność jest tego przyczyną.

—»O nic się nie pytam Julio, rzekła. Odpocznij sobie i pomyśl że po jutrze podpiszecie umowę ślubną. W takim dniu nie należy mieć zapłakanych oczu; nie prawdaż panie Milleret?

Odchodziłam. —»Czy pozwolisz ażebym cię uściskał Julio, rzekł. Pocałował mię w jeden policzek, potém w drugi: uczułam łzę. Było tkliwe serce w jego żołnierskich piersiach; pogodziło nas to pożegnanie. O! ileż to sprzecznych uczuć powstaje w sercu kobiety!

Nigdy nie pamiętam o tém co mi się snił i téj nocy spałam spokojnie. Lecz wzruszenie dnia wczorajszego doznane,

obudziło mię wcześniej jak zwykle, Szybko wyskoczyłam z łóżka i zajęłam się porządkowaniem mego pokoju Chciałam otworzyć żaluzye, gdy w tém fiakr zatrzymał się przed naszym domem. Przez szczebelki żaluzyi patrzałam, zdjęta ciekawością, co to ma znaczyć. Wyskoczył z powozu młody człowiek, ogorzały, mający fizyonomią włoską. »Do Tivoli,« rzekł do stangreta, Fiakr odjechał i zapukano do drzwi naszego domu. Zdało mi się żem usłyszała nazwisko kapitanaa Milleret. Poszłam do drugiego pokoju, którego okna wychodziły na podwórze i ogród za nim będący. Trzeba było tamtędy przechodzić do kapitana.

Milleret, w surducie, z wstążką Legii Honorowéj, w kapeluszu naciśniśniętym na oczy, gotów do wyjścia, palił cygaro przechadzając się po głównéj alei.

Gdy mocne stąpanie nieznajomego, rozległo się po bruku cichego podwó-

10*

rza, kapitan przybiegł i otworzył fórtkę od ogrodu; bardzo grzecznie poprosił wysokiego bruneta, aby usiadł na ławce przy zielonym stoliku; kazał przynieść cygara, likier i kieliszki. Na skinienie pana wyszedł służący. Rozmowa trwała tylko kilka minut. Kapitan słuchał i puszczał gęste kłęby dymu, z gniewem nawet uderzył pięścią w stół, potém uśmiechnął się i serdecznie ścisnął rękę młodego człowieka. Nareście trącili w kieliszki wstając od stolika i wypili z wzajemnym ukłonem. Wielki brunet odszedł, swoim krokiem wojaczym.

Któż on był? Nigdy go nie widziałam. Pobiegłam do okna wychodzącego na ulicę; żeby go widzieć jeszcze i lepiéj mu się przypatrzyć. Poszedł w przeciwną stronę, nie do Tivoli. — Któż był ten drugi który pozostał w fiakrze? Czegóż chcieli od kapitana? Za chwilę potém, kapitan w szlafroku i w pantoflach siedział w ogrodzie i czytał

gazety. Uspokoiła mię ta zmiana. Dałam jeśdź moim ptazskom i usiadłam do fortepianu. Po raz dwudziesty zaczynałam grać trudną sztukę, gdy wtém uczułam pocałowanie na mojéj szyi. Krzyknęłam, obróciłam się i postrzegłam mojego brata.

—»Dziwisz się, rzekł, iż tak rano przychodzę. Mam godzinę wolną czasu; czy chcesz przejśdź się ze mną?

Wybrałam się w mgnieniu oka. Gdzie pójdziemy? zapytał się Fryderyk.

—»Do Tivoli, tak blisko ztąd.« Widzisz Paulino, co to jest wytrwałość w kobiécie. Chciałam koniecznie dowiedzieć się kto był ten człowiek w fiakrze, po co jego towarzysz odwiedził kapitana. Nikogo nie było w Tivoli. Wtém usłyszeliśmy strzelanie z pistoletu.

—»Strzelają do celu! zawołałam; pójdźmy przypatrzyć się. Próżno opierał się Fryderyk, pobiegłam. Nie zawiodły mię przeczucia, był tam Hen-

ryk Verneuil. Mierzył do figurki z gipsu, zatkniętéj na kiju; trafił i roztrzaskał ją.

—»Brawo! zawołał dozorca strzału, Fryderyk i ja. Henryk obrócił się i postrzegł mię. Ukłonem pełnym uszanowania zdawał się zapytywać jak ma postępować w tym razie.

—»To pan Henryk Verneuil, rzekłam do Fryderyka.

Odnowiła się znajomość między Henrykiem a moim bratem. Fryderyk zapomniał o dawnem uprzedzeniu. Z powodu strzelania do celu, zaczęto mówić o pojedynkach. Brat mój chwalił zręczność i trafność któréj Henryk dał dowody w jego oczach. Verneuil odpowiedział, że co innego jest mierzyć do gipsowéj figurki, co innego do żyjącego przeciwnika. »Mgła zakryłaby oko moje, rzekł, gdybym miał mierzyć w pierś czyją; w takim razie trzeba mieć kamienne serce. Wojskowy, naprzykład, więcéj ma krwi zimnéj niżeli przeci-

wnik jego, który nigdy broni nie dźwigał. Jeden jest uzbrojony, drugi się waha i co do mnie, zdaje mi się iż mój przeciwnik wydawałby mi się cieńszym od lalki.

Od tego przedmiotu, Fryderyk zwrócił rozmowę do Cecylii; wspomniał o jéj przywiązaniu do Henryka, przepowiedział mu nawet pół żartem, pół na prawdę, iż zbyteczna jéj miłość może stać się bardzo nudną i uprzykrzoną. O takich to rzeczach rozmawiał brat mój przez całą godzinę; igrał, nie wiedząc o tém, z elektryzowaném żelazem. Na każdą wzmiankę stósującą się do mnie, gdyż mówiono tylko o pojedynku lub o miłości, czułam drżenie. Nie wiem czy ręka Henryka drżała, czy téż moja: może obie razem. Lecz doznawałam nadzwyczajnego uczucia. Nareście mój rozstrzepany brat zatrzymał się nagle i wyjął zegarek.

—»Siódma! zawołał, byłbym uchybił godziny; do licha! cóżby powiedział mój kapitan?

Na te słowa Verneuil ocucił się podobnież i schwycił rękę mego brata.

—»Do widzenia, wcześniejszego niżeli się spodziewasz, rzekł z smętnym uśmiechem. Potém wziął moją rękę i poniósł ją do ust, lecz nie spojrzał na mnie, a Fryderyk którego głos coraz bardziéj się wzmagał im prędzéj wychodziliśmy z ogrodu, nagle rozłączył mię z Henrykiem.

Zdawało mi się, że wtenczas powinnam była wyznać moje domysły i że w téj stanowczéj chwili mego życia, czy to było nieroztropnością, czyli téż uwiedzeniem, czyli téż w rzeczy saméj szło o przyszłość moją, serce brata było jedynym przytułkiem w którym złożyć mogłam, bez obawy— gdyż byłby mię wysłuchał— i bez wstydu, gdyż byłby mię pocieszył, powątpiewanie które mię udręczało. Ach! Paulino nie masz brata, lecz twoja biedna matka ma tylko ciebie jedną, żyje tylko w tobie i dla ciebie. Kochaj ją,

wyznaj jéj wszystko: milczenie jest już wielkiém nieszczęściem.

Lecz dopiéro na progu naszego domu nabrałam odwagi i mogłam mówić.

—»Nie wchodźmy jeszcze Fryderyku; chcę ci powierzyć pewną tajemnicę.

—»Tajemnicę, Julio! wybornie, zdaje mi się iż dziś mi ich nie brakuje. Nie odmawiam ci, lecz odraczam.

—»Godzinę tylko mój bracie.

—»Jutro, kochana siostro; rzekł ściskając mię. Dziś nie mam czasu.

Znowu straciłam siłę. Wróciliśmy. Mój ojciec nie przyszedł na śniadanie, powiedziano mi że wyszedł za moim interesem. Matka postrzegła że jestem niespokojna; rozumiała iż mię dotknęła jego nieobecność. Niestety! nie myślałam o niéj. Mocne namiętności czynią nas niewdzięcznemi; przez nie, zawsze ubliżamy jakiéj powinności.

Kapitan wybierał się zapewne na przechadzkę; miał na sobie ten sam

ubiór co rano. Spoglądając na mnie, rzekł do mojéj matki zajętéj robotą:

—»Czy myślisz pani, o mnie przy téj pracy?

—»Nie Cypryanie; rzekła zdejmując okulary; jest to podkładka pod nogi mego męża, gdyż w zimie zawsze dostaje kataru.

—»Jesteś pani tak przezorną i prawdziwym wzorem żon; odpowiedział z uśmiechem, którego szyderczy wyraz doszedł do mnie.

Wziął wówczas mego brata pod rękę i odprowadził go na stronę.

—»Będziesz u nas na obiedzie Fryderyku? zapytała się matka.

—»Może, odezwał się Milleret, uprzedzając odpowiedź mojego brata.

Odeszli zwolna i zaczęli chodzić po ogrodzie.

—»Zawsze ta sama piosnka z twoim bratem; bałamuci nam kapitana: rzekła moja matka.

Poszłam za niemi, chciałam przerwać ich naradę. Cóż mieli sobie do powiedzenia? O! zapewne nie rozmawiali o wczorajszym wieczorze u Cecylii i jego wypadkach; lecz także zdawało mi się, iż Fryderyk nie byłby mi odmówił tak uporczywie chwili rozmowy, dla tego tylko, żeby gadać z panem Milleret o rzeczach zupełnie obojętnych.

Obydwa znikli za ostatnim szpalerem ogrodu.

Mijając kląb z kaprifolium, ujrzałam iż z lekka otwierają boczną fórtkę, która wychodzi na samotną ulicę.

—»Mamo, zawołałam z mimowolném uniesieniem, mój brat i kapitan wyszli!

—»No i cóż Julio? wołasz jak gdyby to było jakie nadzwyczajne zdarzenie. Nie jestże to ostatni dzień jego bezżeństwa? Czy jesteś zazdrośną?

Umilkłam.

—»Powiedz mi o wczorajszym wieczorze. Nikt jeszcze mi o nim nie wspomniał.

Gdy to mówiła moja matka, usłyszałam skrzypienie ciężkich drzwi od ogrodu i dojrzałam przez liście, Cecylią śpiesznie idącą ku altanie.

—»Oto idzie panna Lambert, szepnęłam do ucha mojéj matki; pogadaj z nią, ona ci opowie wszystko co zechcesz.

I czémprędzéj pobiegłam do ogrodu.

Wyobrażasz sobie moje udręczenie Paulino! Henryk wczoraj jeszcze powątpiewał czy będzie mógł widzieć się z mojemi rodzicami, a dziś rano był przed naszym domem i nie wstąpił do mojego ojca. Czekał zapewne na tego nieznajomego w Tivoli, i tam uczył się strzelać... w jakim celu? Ach! jakże mię to udręczało... Do tego brat mój niespodzianie przychodzi o szóstej rano, wbrew swojemu zwyczajnemu trybowi życia, jak gdyby go przyzwał kapitan,

i dla ukrycia prawdy idzie ze mną na chwilę do Tivoli. A ta rozmowa o śmierci i pojedynku, mimowolne wyjawienie między Henrykiem Verneuil i moim bratem, tego co ich oddzielnie zajmowało obudwu? Nareście ta ucieczka: gdyż była to ucieczka, Paulino: kapitan Milleret i Fryderyk udali że chcą rozmawiać, nie pożegnali się ze mną, a nigdy nie rozstawali się w ten sposób.

A przy tém, po co przyszła do nas Cecylia? Nie chcę się z nią pojednać! Wczoraj, w chwili odejścia mogłam to uczynić; a nawet pragnęłam. Dziś jeszcze, rano, gdym była spokojna, gdym sypała ziarno moim ptaszkom... Lecz teraz!

Może ona przychodzi pomnożyć moje udręczenia? Nie, nie powinnam dopomagać jéj zamiarowi obecnością moją; nie mogę dobrowolnie narażać się na nowe zniewagi, tém bardziej iż się nie poczuwam do winy.

Z tego podwójnego popędu, gdy jeden przyciągał mię za śladem Fryderyka, a drugi odpychał od téj kobiéty, która przychodziła podwajać moje udręczenia, wynikło postanowienie ślepe, głębokie, niezwalczone. Ponieważ nie chciano mi nic powierzyć, umyśliłam dowiedziéć się o wszystkiém.

Dochodzę do furtki, otwieram ją, spoglądam na ulicę. Nikt nie idzie; nadstawiam ucha; coś szumi w moim mózgu, jest to krew silnie bijąca do głowy. Idę na los, biegnę. Ach! otóż i oni! To mój brat i kapitan. Siadają do karykla. Józef staje z tyłu. Nic nie znaczy, muszę ich ścigać. Nie mogą mię widziéć ani słyszéć... karykiel podnosi tuman kurzawy... ledwo mogę ich dojrzéć... gdyby mi znikli... o Boże! dałeś mi odwagę, dodaj mi siły.

Ludzie spoglądają za mną, lecz ich jest nie wiele. Cóż mię obchodzi ich obecność? Dla czegoż patrzą na mnie. Ach! gdyby wszyscy ludzie myśleli

ile dobrego każdy z nich uczynić może, nie byłabym przedmiotem owéj głupowatéj ciekawości; ten karykiel nie pędziłby jak wicher!...

Dobiegłam do rogatki... może za późno przyjdę. Gdzież są? Już ich nie widzę... Pod temi drzewami, przy tych karczmach, w tych polach ciągnących się daleko, widać tysiące głów. Ludzie chodzą, dzieci snują się, słychać śpiewy. Śpiewy, o Boże!..

Lecz gdzież oni są! Nikt mi tego nie powié... Nikt! a w koło mnie jest tysiące ludzi...

Ach! widzę ich przecie... oto jest Józef... oto jest karykiel... Wysiedli. Ach! chociażby byli najzajadlejsi, najdziksi z ludzi, nie będą bić się pośród tego tłumu. Biada mi! już są razem... Już nic nie widzę. Przeczucie nie zwiodło mię... Biada mi! ja to, ja sama jestem tego przyczyną....

Lecz... czyliż od dnia wczorajszego w ciągłém zostaję marzeniu? Witają

się, mają uśmiech na ustach, idą powoli, jeden przy drugim. O! teraz, mogę to powtórzyć z pewnością, chociażby byli najobłudniejszemi z ludzi, bić się nie będą, gdyż podali sobie ręce.

Nie, bić się nie będą... Nie, mój Boże! nie pozwolisz na to. Było to tylko uwidzenie moje, twór wyobraźni kobiécéj. Dla czegóżby Milleret tak nagle znienawidził tego młodego człowieka? dla czegóżby ten dobry Henryk miał obrażać tego którego mam zaślubić? Lecz powiedźcie mi, z kądże to wszystko wylęgło się w moim umyśle? Tworzymy sobie urojenia, gdyż się lękamy, gdyż mamy mylne wyobrażenie o świecie. A z kądżebyś poznała świat biédna dziewczyno, która tylko co wyszłaś z pensyi? Nie, nie będą się pojedynkować.

W jakimże stanie jestem? Wszyscy muszą na mnie zwracać oczy; włosy przykleiły mi się do czoła, chustka

spadła na jedno ramię, suknia zakurzyła się u dołu. Jestem to czerwona to blada... cóż powiem matce za powrotem do domu?... Matka może czeka na mnie, może mię szuka?... Ach! jakżem źle zrobiła, żem zatrzasnęła fórtkę za sobą, gdyż będę musiała wrócić w obec wszystkich... I cóż powiem? jakąż przyczynę naznaczę? Mam czas zastanowić się nad tém, gdyż omyliłam się, bić się nie będą.

Co za szczęście że mię zasłaniają te drzewa! mogę wszystko widzieć i nie bydź widzianą. Ale dla czegóż tak długo rozmawiają z sobą?... Gdybym ich dosłyszeć mogła... O nie! nie, Julio! oto są skutki twojego roztrzepania; czuję bowiem że mam sobie wiele do wyrzucenia; a ponieważ ten wieczór, ten obmierzły wieczór nie pociągnął za sobą skutków których się obawiam, któż wie o Boże, któż wie, coby pomyślał kapitan Milleret, coby Henryk mógł przypuszczać?... a wymówki Fry-

deryka: gdyż nie miałabym prawa wyjawić mojej obawy przed bratem moim. Może nawet niespodziane zjawienie się moje zrządziłoby to czego im zabronić pragnę. Ja samabym dostarczyła broni. Nie uczynię tego. Byleby tylko mię nie postrzegli. Po cóż popełniłam i tę jeszcze nieroztropność? Wychodzą w pole. Dla czegóż? Czemuż nie wracają do Paryża? Ach! gdyby wiedzieli co ja cierpię... O Boże! cóż zrobię?... O Boże! natchnij mię...

Pójdę za niemi, nie mogę tu zostać.... odchodzę od rozumu. Czyliż wiedzą ludzie co to jest pojedynek? Jest to albo zbrodnia, albo nikczemna igraszka; jest morderstwem jeżeli nie kończy się pojednaniem po małém zadraśnięciu. W każdym razie na mnie spadnie ten ciężar, gdyż z mojéj przyczyny będzie krew przelana, i albo jeden padnie ofiarą, albo obydwa dopuszczą się śmiesznego zuchwalstwa. Nic innego; jeden zabity, albo dwóch znie-

sławionych; oto jest pojedynek. I cóż! czyliż nie miałabym prawa, ponieważ mieszają mię do téj rzeczy bez mojéj wiedzy i woli, zapytać się dla czego się pojedynkują? krzyknąć na nich, zabraniam wam, gdyż jestem kobiétą; gdyż co bądź wyniknąć może, na mnie spadnie boleść lub niesława? Ach! cóż znaczy dla miłości własnéj mężczyzn, wstyd lub boleść kobiéty?

A gdy te myśli burzą się w mojéj głowie, gdy widzę się wystawioną na ich wystrzały, oni wyprzedzają mię wiadomemi ścieszkami: — gdyż przede wszystkiém trzeba znaleźć ustronne miejsce, ażeby się bez przeszkody zabijać można: wychodzą na płaszczyznę, a ja nie mam głosu, nie zdołam krzyknąć na nich, żeby się zatrzymali! żaden się z nich nie obejrzy... I to jest także skutkiem wyrachowania, powziętoby podejrzenie, użytoby przemocy dla wydarcia im broni.

A ja nie myślałam o tém; wówczas gdy mogłam zawołać na tysiące ludzi. Wszystko sprzysięgło się przeciw mnie, nawet i pomieszanie moje.

Ledwie mogę wlec się; nie czuję siły. Przedział między niemi a mną, powiększa się co chwila. Są na płaszczyznie, gdzie już nie ma drzew, gdzie już nie ma żadnéj podpory, gdzie odrętwiałe nogi moje co chwila potykają się o kamienie. Wysokie zboże zasłania ich przed memi oczyma, a ja zaślepiona ich powiewem, błąkam się i chwieję. Jakże znajdę ścieszkę, gdy jedna tylko myśl zajmuje mię wyłącznie, gdy się obawiam stracić ich z oczu?

Nareście przebyłam te zboża i chciwém okiem obejmuję ten niezmierzony widokrąg. Poznałam kapitana; idzie prowadząc się pod rękę z Fryderykiem i obojętną miną wskazuje panu Verneuil, końcem laski, jednę z bateryi wysypanych w r. 1814 dla obrony Pary-

ża, gdzie przed kilkoma dniami ja i Cecylia zbierałyśmy kwiatki polne.

Weszli na wał; Verneuil jeden z piérwszych, jego przyjaciel za nim, a ja straciwszy nadzieję, biegnę... Odzyskałam wolą, ona mię utrzymuje, Fryderyk wszedł także na bateryą, drudzy znikli w jéj głębi.

—»Oddal się panienko! woła jakiś wieśniak, idąc ku mnie, oddal się, będą się bić.

I ten nędznik schwycił mię w silne ręce i zatrzymał. Straciwszy mój popęd straciłam siły duszy i ciała. Nie mogę mówić, zrywam pierścionek z palca, daję go wieśniakowi, wskazuję mu brata mojego, który ostatni raz jeszcze spogląda ku Paryżowi. Krzyki niewyraźne wychodzą z głębi moich piersi, rzucam się, czynię bardziéj nakazujące i częstsze znaki. Wieśniak zrozumiał mię nareście, biegnie, a ja czołgam się za jego śladem. Bogu niech będą dzięki! brat mój przychodzi do

mnie. Na pół drogi padam na jego ręce, byłam tylko o dwa kroki od bateryi.

—»Dobra Julio! rzekł mój brat pochylając się ku mnie: teraz wszystko rozumiem. Lecz co robisz? Chceszli żeby życie kapitana Milleret było splamione; bo już niepodobna odwołać tego co się stało.

—»Fryderyku!

—»Musisz tu zostać Julio. Jeźli kapitan zginie; ja go pomszczę, przysięgam.

—»O! zabraniam ci tego Fryderyku, zabraniam!

I zatrzymałam mego brata jakby szaleństwem miotana.

—»Skoro tak, więc nie wmieszasz się do téj sprawy? rzekł z mocném wzruszeniem.

—»Nie, jeźli odwołasz to okropne przyrzeczenie.

Wahał się; złożyłam ręce.

—»A wy, rzekł do wieśniaka, zatrzymajcie ją!

Gdy odchodził odemnie, kapitan pokazał się na wale; a Fryderyk wzruszony braterskiém politowaniem, zwrócił spojrzenie jego na tę kobiétę klęczącą i modlącą się z wzniesionemi rękoma.

Ach! okropne było poruszenie przez które objawiła się niecierpliwość Millereta i ta dzika wola dokonania swego zamiaru, bez względu czy nie umieram z bojaźni i udręczenia, ta nieludzkość malująca się na jego twarzy, a która przestała bydź odwagą: nigdy jeszcze odwaga nie poniżyła się bardziéj. Zajadłość, wściekłość i pogarda błyszczały w jego oczach, malowały się na jego zwartych ustach i w ruchu téj ręki, którą byłby mię skruszył, gdybym była tuż przy nim. W téj chwili zniszczyła się w mojém sercu ta myśl, że mogę bydź jego żoną.

Zamknęły się oczy moje, pragnęłam abym je zawarła na wieki. Lecz słyszałam wszystko.

—»Panowie, rzekł kapitan, ułożyliśmy się że tu na placu nie będzie mowy o początku naszéj kłótni; nie będziemy szczersi dla was, niżeli bylibyśmy dla nas samych. Tu, podobnież jak i gdzieindziéj, nie wiem co to jest zgodne zakończenie sporu. Żadne tłómaczenie nie może mieć miejsca, gdyż go nie czynię i nie przyjmuję. Nienawiść poprzedziła gniew; tak zawsze bywa. Podług słów sekundanta pana Verneuil, który sam wyznaczył dziś rano godzinę i miejsce, idzie tylko o zniewagę. Chcieliśmy sekundantów do naszego pojedynku, nie zaś sędziów naszych pobudek. Pan Verneuil wybierze broń.

—»Szpadę albo pistolety; zostawiam ci wybór kapitanie Milleret: odpowiedział Verneuil.

—»Nie mogę na to zezwolić bez zaręczenia sekundanta pana, zawołał Fryderyk, i to jeszcze wiedzieć muszę czy umiesz bić się na szpady.

Milczeli przez chwilę.

—»Po cóż ta zwłoka? rzekł kapitan; nabijcie pistolety, iśdź będziemy ku sobie aż do dziesięciu kroków odległości. Żadna broń nie jest obcą dla mnie i żałuję cię panie Verneuil jeżeli mię chybisz.

Otworzyłam oczy, usiłowałam wstać i biedz ku nim. Lecz brat mój, którego głowa przenosiła brzeg bateryi, położył palec na ustach i oczy wzniósł w niebo. Zadrżałam, gdyż łamiąc moje słowo uwalniałam go od jego przyrzeczenia i narażałam trzecią ofiarę.

Okropne wspomnienie!.... Nastąpiła przerwa,podczas której nic nie słyszałam prócz powiewu powietrza i szelestu trawy; mogłabym powiedzieć że przestałam cierpieć, tak dalece odrętwiła się czułość moja. A wtedy, w duszy mo-

jéj pragnęłam czém prędzéj usłyszéć hasło, gdyż niepodobna było znosić takiéj wątpliwości. Pomyślałam że jestem szalona, że wychodzę z paroxyzmu obłąkania, że widok tych pól i łąk okolicznych, jest tylko złudzeniem, podobnie jak złudzeniem jest scena któréj słowa drżą jeszcze w uszach moich; że mię zwodzi pamięć moja. Taka chwila starczy za dziesięć lat najcięższego życia.

Na piérwszy, drugi i trzeci znak dany przez Fryderyka, konwulsyjne poruszenie podrzuciło moje ciało, głowę i ręce. Dwa wystrzały usłyszałam i padłam.

Uczułam iż mężczyzna podnosi mię z ziemi i przyciska do serca; spotkałam spojrzenie jaśniejące radością, którego nie szukałam wcale.

—»Drżałaś o mnie! mówił kapitan.

—»Ach! brzydzę się tobą, zawołałam odpychając go.

I z szybkością błyskawicy pośpieszyłam do bateryi.

Henryk, bezprzytomny, blady, krwią zbroczony, leżał na ziemi, otoczony kilkoma mężczyznami, na których twarzach widać było przerażenie i przestrach. Ten którego widziałam dziś rano, pochylił się ku ofierze, pogrążony w jedynéj myśli ratowania rannego; prawą rękę położył na sercu Henryka, ewą dawał znak aby wszyscy milczeli. Znak ten zatrzymał mię. Dwóch rozmawiało po cichu, smutni i niespokojni, był to brat mój i ktoś inny. Czwarty obojętnie zbierał i chował szpady i pistolety, jako broń już nieużyteczną. A ja ze drżeniem wpatrywałam się w tego, którego podniesiona ręka była dla mnie nieprzebytą zaporą, gdyż na jego muszkułach, na wymownych rysach tego człowieka klęczącego na piasku przy rannym, czytałam koleją, drżenie i niespokojność, stanowcze pomysły doktora, i udręczenia przyjaciela, a skoro tylko promień nadziei oświecił jego spojrzenie:

—«Ach! jesteś Stefano Lalzani i zawołałam padając przed nim na kolana i całując jego rękę. Ocalisz go, wszakże go ocalisz!

—»Tak jest Cecylio; tak jest, odpowiedział Stefano silnie ściskając moją rękę.

—»Ach! moja siostro, rzekł Fryderyk po cichu, on się myli, lecz cię odgadł. Stefano bardziéj odemnie zasługuje bydź twoim bratem.

—»Cecylio! powtórzył Stefano, trzeba kazać przenieść twego kuzyna do jego pomieszkania; jest to niedaleko z tąd, jak mniemam. Spieszmy się, nie traćmy ani chwili. Nie spodziewałem się że w tak smutnym sposobie piérwszy raz odwiedzę twoje pomieszkanie; lecz jeźli Bóg pozwoli, zaręczam ci za życie naszego przyjaciela. Zaklinam cię; wydaj rozkazy.

Ach! moja córko, wówczas odzyskałam siłę, głos i życie. Skinieniem rę-

ki przywołałam kilku wieśniaków będących w pobliskości i wprędce zrobiono mocne nosze. Wyprawiłam jednego posłańca do mieszkania Cecylii, ażeby uwiadomić Wiktoryą; pomyślałam iż nikt mi nie zaprzeczy, boleśnie nabytego prawa pilnowania Henryka; a z resztą Fryderyk będzie przy nas.

Urządziwszy te szczegóły, wróciłam do rannego, który otworzył oczy i zwrócił na mnie smutne i słodkie spojrzenie; Stefano ciągle zostając w błędzie, prosił mię żebym odjęła pistolet, który trzymał jeszcze w ręku, skutkiem nerwowego ściśnięcia muszkułów.

—»Nie odstąpię ciebie: rzekłam do Henryka Verneuil.

Słabo ścisnął mię za rękę.

Gdyśmy wyruszyli z ranionym, postrzegłam kapitana Milleret; stał sam jeden, o kilka kroków od nas, zgromiony jak Kain przekleństwem Bożém.

Odwróciłam się; już go więcej nie chciałam widzieć.

Gdyśmy przybyli do domu Cecylii, przestraszona Wiktorya rzekła do mnie:

—»Ach! panno Duclos, gdybyś wiedziała co moja pani wczoraj mówiła. Teraz dopiero będzie krzyczéć; wypędzi mię, lecz ja nie odstąpię pana Henryka. Gdyby nie on, ani dziesięciu minut nie byłabym pozostała w tym domu; chciałam go uściskać a potém umrzéć.

—»Oby tylko on wprzódy nie umarł! rzekłam.

Usiadłam w głowach przy łóżku Henryka. Stefano wstawał, chodził po pokoju, słuchał oddychania swego przyjaciela, dotykał się jego czoła, pulsu, piersi, i znowu siadał przy łożu chorego i wpatrywał się w niego. I tak przez dwie godziny nie zważał na mnie, a ja przez ten czas nie spuściłam go z oka. Na jego twarzy malował się stan Henryka.

Nareście rozważywszy wszystkie symptomata, spojrzał na mnie oczyma jaśniejącemi radością.

—»Dobra Julio! rzekł Henryk słabym głosem.

—»Julio! powtórzył osłupiały Stefano; lecz... gdzież jest panna Lambert?

W téj chwili powóz zajechał. Mój ojciec i matka przybyli z Fryderykiem. Za chwilę moja matka zostawiła pana Duclos przy Henryku, a mnie odprowadziła do okna.

—»Czytaj, rzekła.

Był to list kapitana do mego ojca, w tych kilku słowach:

»Mój przyjacielu, postępowanie two-
»jéj córki zniesławia mię i uwalnia
»od danego słowa.«

Milleret.

—»I cóż Julio?

—»Jest to niegodny człowiek, moja matko!

Pobiegłam do łóżka, przy którém nasz ranny zbijał zarzuty mego ojca i tłómaczył powód tak nagłej kłótni, pokazując stłuczone zwierciadło w salonie.

—»W istocie, rzekł Verneuil; moja kuzynka poróżniła się ze mną. Zgadłaś to Julio; lecz jeźli wzbudziłem w tobie politowanie, Stefano utrzymuje że nie będę bez pociechy.

Pokazałam mu bilet kapitana; przeczytał go, a potém pocałował rękę moją.

I oto jest Paulino historya czterdziestu ośmiu godzin życia mojego.

To wszystko rozwikłało się dopiéro w sześć tygodni po tém, a gdy ogłoszono nasze zapowiedzi, mój ojciec doniósł nam wielką nowinę, że kapitan Milleret żeni się z panną Cecylią Lambert. Parsknęliśmy śmiechem.

»Śmiejcie się, rzekła moja matka; z tego małżeństwa nic dobrego nie wyniknie.

Moja matka miała słuszność. Nienawiść skojarzyła ten związek. Liczne procesa wytoczyli przeciw Henrykowi z powodu testamentu po stryju; mąż mój wygrał je wszystkie tak, jak się zwykle wygrywa, na korzyść kosztów sądowych Lecz gdy znikł powód ich urazy, Milleret i Cecylia poznali, iż się nie kochają i kochać nie mogą. To co gniew połączył, odosobniło się gdy już gniew nie miał żywiołów. Wynikło z tego gorszące rozłączenie. Milleret stracił majątek Cecylii i opuścił ją. Okropne szczegóły słyszeliśmy o ich pożyciu. Przez długi czas nie chciałam dawać im wiary.

Skoro tylko zazdrość nie jest połączona z szlachetném współubieganiem, staje się nieczystą kałużą, która zalega w głębi serca i kazi one. Wówczas poniża się człowiek i traci własny szacunek. Podobnie jak sumienie potępionych udręcza ich na widok szczęścia wybranych, tak i życie zazdrośni-

ków jest tylko długiém i boleśném porównaniem nikczemności w któréj się czołgać muszą, z losem tych którzy unoszą się nad niemi i których oni dosięgnąć nie mogą. Między zazdrością i zbrodnią, upatruję nieraz dzielny związek; zarodek zbrodni jest w zazdrości.

Dowiedziałam się potém, że Milleret rozdrażniony nienawiścią prywatną, wmieszał do zamieszek i spisków, które przez lat kilka szarpały Francyą i naostatek udał się do Hiszpanii.

—»Był to jednak dobry chłopiec, rzekł do nas mój ojciec; lubił bawić sie z dziećmi, dotrzymał placu przy biesiadzie, szczerym był i wylanym dla przyjaciół.

—»Dwa razy go tylko widziałem, odpowiedział Henryk; był on dziecięciem w spokojnéj chwili, lecz tygrysem gdy się rozdraźnił.

Dokończę ci opowiadania o życiu twego ojca, Paulino. Gdy febra żółta grasowała w Barcelonie, mąż mój oswo-

jony z tego rodzaju chorobami umyślił pojechać tam i walczyć z tą zabójczą plagą. Na parę dni przed odjazdem, jakaś kobieta przyszła z biletem do pana Verneuil. Była to Cecylia, przywiedziona do nędzy; chciała z nim się widzieć. Zasięgnął rady mojéj. —Pójdź, rzekłam: i zapewnił jéj dochód dożywotni; lecz nie chciała pojednać się ze swoją dawną przyjaciółką. Verneuil pojechał. Wiesz że po uśmierzeniu febry żółtéj, wybuchła wojna między Francyą i Hiszpanią. Niepodobna było mieszkać w Katalonii. Zaklinałam Henryka żeby powracał. Gdy już zadosyć uczynił obowiązkom swego powołania, gdy uniknął téj plagi, która obok niego zabiła doktora Mazet, lękałam się żeby nie wszedł w służbę wojskową. Stało się to czegom się obawiała, przyjął zastępstwo lekarza w dywizyi generała Pecheaux. 14 Października 1823 r. w okolicach Lerydy gdy opatrywał rannego żołnierza, padł ugo-

dzony wystrzałem wymierzonym z za płotu. Otworzyła się jego dawna rana. Schwytano mordercę i poznano że był ajentem Miny, który go wybrał z powodu jego biegłości w języku francuzkim. Jeżeli sprawiedliwy jest domysł mojego męża, nie ma w tém nic dziwnego: był to kapitan Milleret.

Twój ojciec we dwa miesiące potém umarł w Paryżu na moich ręku.

A teraz wiesz o wszystkiém Paulino, znasz historyą mego życia i Cecylii, którą widziałaś przed chwilą płaczącą na grobie twego ojca.

Przebaczmy Cecylii, że nas nie nawidzi, gdyż go zawsze kochała.

ZUBOŻAŁY

K U P I E C.

POWIEŚĆ

DOKTORA HARRISONA

(Z ANGIELSKIEGO.)

ZUBOŻAŁY KUPIEC.

Czy widzieliście nędzarza, upadającego na środku ludnéj ulicy? Idący za nim, mimowolnie depcą go nogami; chce wstać, lecz najlżejsze potrącenie znowu go obala. Pada, rzuca się; tłum coraz jest większy; ginie nareście, a jego daremne usiłowania powiększyły tylko jego niedolę. Tak i w życiu ludzkiém, jedno nieszczęście, jeden cios niespodziany, uderza nas i przyciska. Już nie jesteśmy panami siebie samych. Przytomność umysłu, ta ochrona przeciw wszelkim niebezpieczeństwom, opuszcza nas i zostawia zniechęconych, odrętwiałych, niezdolnych co uczynić dla ocalenia naszego; padamy wśród tłumu; wikła się nawał trosk i udręczeń; jedno dru-

gie przyciąga i rodzi nawzajem, a w koło nas nagromadza się zamęt, nieład i nędza. Z tąd pochodzi owe pospolite zdanie: *nieszczęście nigdy nie przychodzi samo*, stare jak świat i którego szczytném rozwinięciem jest księga Joba.

To nagromadzenie nieszczęść cisnących się za pierwszym ciosem i następujących po sobie jak fale morza, nareście wtrąca człowieka w rozpacz; wpada on w głupowatą obojętność wołu, który ma otrzymać cios śmiertelny; rzuca się w otchłań samobójstwa. Nieszczęśliwy, nie widzi że właśnie ta obojętność i zniechęcenie sprowadzają wszystkie następne ciosy; nieczynny, uległy losowi, albo raczéj nieporuszony i jakby skamieniały, martwém spogląda okiem na to następstwo klęsk i nie stawia mu oporu. Pierwszą myślą człowieka w takiém położeniu bydź powinno: »Obudźmy się, walczmy, odnieśmy zwycięztwo nad losem. Skoro tylko człowiek zaczyna myśléć, rzekł jeden z naszych mowców kościoła, już jest

bliskim podźwignięcia swojéj doli. — Jakimże sposobem sztuka lekarska mogłaby uleczyć to osłabienie moralne o którém wspomniałem? Zdaje się wówczas, że nerwy duszy rozprzęgają się, że energia człowieka zupełnie w nim się kruszy. W ciągu mojéj praktyki lekarskiéj, widziałem iż najlżejszy przypadek zrządził zupełną demoralizacyą, doprowadzał ofiarę lękliwą do najnikczemniejszych błędów, zrządzał chorobę i śmierć. Widziałem także rozwijającą się w najsmutniejszym stanie interesów, szczytną wytrwałość i wielkość umysłu, która nareście odniosła tryumf nad przeciwnościami. Lecz niestety, czyliż nie ma takowego nieszczęścia, o które rozbije się moc duszy człowieka? W następującém opowiadaniu ujrzemy boleśny przykład bezużytecznéj pracy. Nie wiem jakie myśli i wrażenia wzbudzi ten obraz w czytelnikach moich. Zadosyć czynię potrzebie serca mojego, opisując smutne sceny, których świadkiem byłem; uderzyła mię ich tragiczność i z nich prze-

konałem się jak jest niebezpiecznym zbyt szybko zyskany majątek, zbyt nagłe wyniesienie. Stanąwszy na scenie do któréj nie był usposobiony od młodu, szybko zbogacony negocyant, daleko niżéj spada potém i ginie ofiarą chwilowego wywyższenia.

Ryzykowna świetność negocyantów angielskich i wspaniały skutek wytrwałego przemysłu, przedsiębierczéj roztropności i dobrze wyrachowanego oszczędzania, najwyraźniéj okazuje się w życiu pana Dudlej.

Od piérwszéj młodości był sam na świecie i bez żadnych zasiłków; ogołocony przez opiekuna, wsiadł w szesnastym roku życia, jako chłopiec okrętowy, na statek kupiecki płynący do Indyi zachodnich. Kilku krewnych których miał jeszcze, odwracało go od tego zamiaru i rzekli mu nareście, iż powinien przygotować się na wszelkie skutki swojego kroku. Wszyscy zapomnieli o nim i żaden nie zbliżył się do niego aż wtedy dopiéro, gdy stał się dzie-

sięćkroć bogatszym od całéj familii która go się wyrzekła.

Piérwsze lata przepędzone na okręcie, były dla młodego majtka okropną szkołą. Nie wyobrażamy sobie jakiego tyraństwa mogą się dopuszczać ludzie z gminu, gdy ich nie powściąga żadna surowa władza. Wyższość Dudleja nad wszystkiemi współtowarzyszami wznieciła powszechną zazdrość; nie przebaczono mu ani jego talentów, ani młodości, ani nawet łagodnego i grzecznego obejścia. Nieraz słyszałem od niego samego, iż kapitan statku kazał go bić rózgami, aż krew wytryskała z jego ramion i piersi. Był igrzyskiem wszystkich majtków i mieli zabawkę w bezkarném i ochydném udręczaniu biédnego chłopca. Te męczarnie doszły do tego stopnia, iż ten młody człowiek życie sobie obmierził. Pewnego dnia, gdy statek zawinął do Wapping, za powrotem z Indyów, Dudlej schronił się do gospody i napisał do właściciela okrę-

tu list, z wyłuszczeniem jak okropnie z nim się obchodzą, prosił go o opiekę i zapewniał że jeźli nie wysłucha jego proźby, będzie wolał odebrać sobie życie, niżeli wrócić na okręt. Ten list odznaczający się dobrą ortografią, pięknym stylem, ożywiony wrodzoną wymową i podpisany *Henryk Dudlej chłopieć okrętowy*, zdziwił i zajął właściciela okrętu. Negocyant posłał po młodego Dudleja, rozmawiał z nim, wybadał go, dowiedział się o jego urodzeniu, wychowaniu, zdolnościach, i przyjął go nareście za ucznia w swoim kantorze. Po kilku latach, Dudlej był jego komissantem i miał 500 funtów szterlingów pensyi. Nawykły do oszczędnego życia, zakupywał papiery publiczne za większą część swoich dochodów i zebrał spory kapitał.

Jego pryncypał zbankrutował. Dudlej wyświadczył mu wówczas ważne przysługi, uporządkował jego interesa i nabył część jego zakładu. Wyprawił

okręt który szczęśliwą odbył żeglugę i przyniósł mu znaczne zyski. Od tej chwili umyślił pracować na własny rachunek i nie przyjął bardzo zyskownych warunków, ofiarowanych mu przez pewien wielki dom handlowy. Jego spekulacye przedsiębrane z energią, prowadzone rozsądnie i wytrwale, powiodły mu się i zgromadzał coraz to większy majątek. Była to najpomyślniejsza epoka dla handlu; kto tylko zna historyą, nie będzie dziwił się, że niespełna w pięciu latach, pan Dudléj zebrał przeszło 20,000 funtów szterlingów. Jego oszczędność była wprawdzie posunięta do najwyższego stopnia, wszyscy znali go na giełdzie, jako człowieka którego czeka najświetniejsze powodzenie; lecz nie zaprzyjaźnił się z żadnym ze swoich kolegów, nie podzielał ich uciech, żył jak prosty komissant, zawsze chodził pieszo, zajmował dwa pokoiki ledwie że umeblowane i wydawał mało co więc

cej nad pięćdziesiąt funtów szterlingów rocznie. Tak żył aż do 32 roku; wówczas ożenił się z bogatą wdową, któréj mąż przedsiębierca budowli okrętów, zostawił jéj znaczny majątek. Ta kobiéta wywarła zbyt wielki wpływ na życie Dudleja; muszę więc skréślić jéj obraz.

Pani Buxton miała lat trzydzieści i kilka. Wyobraźcie sobie kobiétę otyłą, mającą regularne lecz dosyć pospolite rysy, zawsze obciążoną ozdobami, krótko mówiąc, kobiétę ze starego miasta Londynu, z całą gminnością i dumą, jaka wynika z posiadania majątku, z całą niemożnością podobania się i z pragnieniem żeby świetnieć i wzbudzać uwielbienie. Jéj mąż przeciwnie, pokorny, nieobrażający nikogo, zagłębiony w interesach, nieprzyjaciel wszelkiéj płochości i dumy, był zupełnie odmiennego charakteru. Zaślepiony, jak tylu innych, blaskiem wielkiego majątku, zręczniéj umiejąc rachować

procenta od kapitału, aniżeli przenikać charaktery ludzi; zwiedziony prócz tego pozorem łagodności i dobroci, którym się przystraja młoda wdowa, negocyant nasz zawarł ten związek. Piérwsze jego lata były pomyślne i szczęśliwe. Podźwignął handel swego poprzednika, a jego przemyślna i wytrwała zręczność, otworzyła mu obfite zródło bogactw i wkrótce uczyniła go milionowym.

W Starém Mieście Londynu, o niczém inném nie mówiono, tylko o szczęściu i czynności Dudleja. Zdarzył się pamiętny dzień w jego życiu, cztéry jego okręty bogato naładowane zawinęły do portu, a wieczorem zrobił na giełdzie spekulacyą, która mu przyniosła 250,000 franków. Mógł był wówczas spocząć; posiadał książęcy majątek, honor bez skazy, sławę jak największéj rzetelności; był gościnnym i wspaniałomyślnym, mógłbył zadosyć czynić upodobaniom swoim i żyć jako

najbogatszy i najszanowniejszy kapitalista Anglii. Lecz żądza bogactw pomnaża się przez ich posiadanie; żona sprzeciwiała się także jego zamiarowi usunięcia się od interesów i nalegała na niego żeby rzucał się w najśmielsze spekulacye.

Zaślepił go ciągły i bezprzykładny wzrost majątku; mniemał że wzrost ten dopiero zatrzyma się razem z jego życiem. Posiadając niezmierny kapitał ruchomy i nieograniczony kredyt, zbogacając się corocznym powrotem okrętów swoich, z żalem widział, iż część skarbów leży bez korzyści w jego skrzyniach. Na cóż użyje tych pieniędzy? Długo myślał nad tém i nareście wynajdywał najdziwaczniejsze spekulacye. I tak naprzykład, dziwiono się pewnego razu, iż nie można było dostać w Londynie ani jednéj gałki muszkatełowéj. Dudlejowi przyszło było na myśl wykupić wszystkie i w ośm dni potém przedawał je po cenie po jakiéj

sam chciał, co mu zrządziło niezmierne zyski. Kilkanaście podobnych monopoliów podwoiło jego majątek. Jeszcze pamiętają, jak zakupił wszystką essencyą różaną i czterykroć powiększył cenę tego modnego pachnidła. Dzięki jego szczęściu i zręczności, spekulacye te były dla niego bardzo proste, wskazywał tylko ich pomysł, a gdy wieść się rozeszła, meklerowie zewsząd zbiegali się do niego i odkupywali po znacznéj cenie, przedmioty na które ustanowił monopolium. Takim to sposobem powstało wiele majątków, których szybki wzrost zdziwił Anglią i przeszedł wszelkie granice podobieństwa.

Taki majątek w ręku osoby z charakterem pani Dudlej, stał się niebezpiecznem narzędziem próżności i zbytku. Dudlej zdawał się bydź tylko w swoim własnym domu raczéj intendentem żony, nie zaś jéj mężem. Kazała wystawić i umeblować wielkim kosztem

dwa domy, albo raczéj dwa świetne pałace, jeden przy Hampstead, drugi na placu Groswenor niedaleko zwierzyńca Hyde. Tam zbierali się wszyscy darmozjadowie wyższego stanu, którym tytuł ludzi modnych, nadaje prawo żyć kosztem drugich. Kolumny dzienników brzmiały imieniem pani Dudléj. Były to bez ustanku nowe wieczory, nowe zabawy, nowe bale. Panna Dudlej, młoda i piękna osoba, pełna czułości i wdzięku, widziała błędy swojéj matki, lecz nie mogła im zapobiedz. Henryk Dudlej jéj brat, nietylko tracił ogromną pensyą którą pobierał od ojca; lecz jeszcze dłużył się w Oxfordzie. Pan Dudléj ulegając żonie, z podziwieniem patrzał na te wyuzdane wydatki; gdy pojechał na giełdę, skarżył się przed swemi przyjaciołmi na postępowanie żony, lecz łagodnie, jako człowiek który nie śmie wyłamać się z pod władzy już oddawna cięźącéj na nim. W obecności pani Dudlej, niknął

głos jego, nikła energia i stawał się słabém dziecięciem. »Dalibóg, mówił kiedy niekiedy, nie pojmuję co robi żona moja.« I na tém kończyły się jego skargi. Z radością uciekał przed tłumem gości, zaludniającym złocone salony pani Dudlej. Przychodził wtedy do którego ze swoich przyjaciół, przepędzał wieczór i noc całą na wsi i spokojnie obliczał jakim sposobem wynagrodzi marnotrawstwo żony. — Skoro tylko goście zaczynali się zjeżdżać, widziano go iż brał laskę i kapelusz i nie żegnając się z nikim, nie czyniąc wymowek, uciekał spokojnie z domu i z miasta. Pani Dudlej wkrótce się nazwyczaiła do tego postępowania; obecność męża byłaby ją powściągała: lubiła sama rządzić i przestano zważać na to, że pan domu nie jest obecnym na żadnéj z tych świetnych zabaw, na które cisnęły się najznamienitsze osoby dworu i miasta. »Mąż mój, mówiła pani Dudléj, jest słabego zdrowia;

nie może znieść licznych towarzystw, wrzawa i długie czuwanie nuży go i męczy. Zdarzało się także, iż szydziła w obec swoich przyjaciół i przyjaciołek, z tego co bardzo niesłusznie nazywała skąpstwem swego męża. Biédny Dudldj nietylko że nie zasługiwał na ten zarzut, lecz przeciwnie, miał szlachetne i miłosierne serce. Nieraz, nazajutrz po dniu gdy tysiące funtów szterlingów wyszło z jego kassy dla zaspokojenia próżności pani Dudlej, zgromadzał u siebie najuczciwszych i najuboższych kupców londyńskich i dopomagał im radą i pieniędzmi. Zacny człowiek! godzien lepszego losu i innéj żony.

Rozrzutność, albo raczéj szaleństwo téj kobiéty powiększało się z latami; ciasny jéj umysł i oschłe serce jeszcze oschlejszemi stawały się pośród uciech zbytku. Na trafne i rozsądne przełożenia pana Dudlej, to tylko odpowiadała: «Bez moich pieniędzy któremi ci

wniosła, cóżbyś zrobił? Czyliż nie mnie winien jesteś twój majątek? Czyliż nie powinieneś żyć stosownie do twojego stanu? Jak śmiesz czynić mi takie uwagi i tak postępować ze mną?« Mąż nie mógł nic odpowiedzieć na to. Zachęcona jego uległością, pani Dudlej, przeszła wszelkie granice marnotrawstwa. Rachunki kupcowéj strojów, fabrykantów powozów i mebli, przerażały nieszczęśliwego Dudleja. Pragnąc przewyższyć księżne blaskiem swoim, niezdolna czém inném tylko wyuzdanym zbytkiem, zastąpić smaku i wytworności których jéj nie dostawało, dopuszczała się niesłychanéj szalonéj rozrzutności. Jeźli kiedy rano, pan Dudlej ze łzami w oczach odezwał się w obecności żony, z jakiém starém przysłowiem na pochwałę oszczędności i dobrego rządu, potok wymowy niewieściej zatrzymywał go natychmiast. Panna Dudlej już jest dorosłą panienką, trzeba ją w świat wprowadzić, oprócz

tego, ta marnotrawna żona dopomagała interesom męża; przez swoje wydatki powiększała jego kredyt, a tym samym i majątek. Słaby Dudléj, którego zdrowy rozsądek nie łudził się tak grubemi sofizmatami, ustępował dla spokojności i pozwolił żonie ażeby wydawała przekazy na jego bankiera. — Przez kilka miesięcy, umiarkowanie używała jego prawa, a mąż już oddawna nawykły do tych zbytków, którym oprzeć się nie mógł, zaniedbał przeglądać tę część rachunków, którą nie mógł zajmować się spokojnym umysłem.

Kto zna tę klassę społeczeństwa, zwaną nie wiem dla czego, wielkim światem, postrzegł zapewne kobiétę, albo raczéj harpią, starą, zniesławioną, zawsze siedzącą przy kartach, dumną z tytułu i z pięknego nazwiska które hańbi. Bezwstydna kobiéta, jedynym występkiem, namiętnością do kart, zastąpiła wszelkie występki których się

już dopuszać nie może; ona to i kilka jéj przyjaciołek ogarnęły panią Dudlej uradowaną że należy do towarzystwa dam z tak świetném imieniem. Co wieczór widziano je siedzące przy zielonym stoliku; podżegały w niéj tę namiętność przy któréj wszystkie skarby świata stopią się jak lód od promieni słońca. Ponieważ należy to do dobrego tonu, żeby przegrywać bez narzekania, pani Dudlej przegrała znaczne summy, z zimną krwią, która ją wsławiła między graczami. Stara hrabina raczyła pewnego dnia wygrać od niéj 5,000 funtów szterlingów (200,000 złp.) Otwarty kredyt u bankiera, zaspokajał wydatki téj szalonéj kobiéty, a gdy pan Dudlej zapytywał żonę w tym względzie, miała mnóstwo usprawiedliwiających pobudek. Młody par Anglii zajął się panną Dudlej; hołd ten pochlebił samemu nawet negocyantowi i dla tego tém mniéj zważał na postępowanie żony, która go prowa-

dziła do upadku. Zaczynały go nudzić honory, jakiemi go obsypywali kupcy starego miasta Londynu. Byłby wolał wytworną rozmowę i może niewinną przyjemność należenia do wyższego i bardziej dobranego towarzystwa. — Przywiązanie do córki przykładało się do jego złudzenia i służyło zamiarom jego żony; był tak nieroztropnym, że jeszcze powiększył jéj kredyt.

Czas już, żebyśmy zajęli się panną Dudlej, młodą i piękną osobą, której serca nie zepsuło świetne wychowanie, i która ze smutkiem widziała postępowanie matki. Miła ta dziewczyna kochała tego młodego lorda. Jakże byłaby mogła oprzeć się świetności jego rodu, uprzejmości obejścia i namowom matki! Znaczny posag panny Dudlej był jedyną ponętą, przyciągającą tego młodzika obarczonego długami. Zacny kupiec już odłożył na bok summę za którą miał kupić zięcia, i zajmował się wynadgrodzeniem, za pomocą wielu

spekulacyj śmiałych i trafnych, ciężkiéj szkody zrządzonéj w jego majątku, szaleństwami żony i wyposażeniem córki.

Tydzień przeszło upłynął od czasu jak pani Dudlej uzyskawszy nowy kredyt do bankiera, dała bal w hotelu przy Groswenor Square. Najznamienitsza młodzież znajdowała się na nim. Sam nawet dumny książę **** raczył przyjechać na zaproszenie żony kupca, i wprzódy nim pojechał do dworu, rzucił wzrokiem protekcyi na bal miejski i świetny, którego opisaniem zabawi monarchę. Wyobraźcie sobie, jaka duma napełniła serce pani Dudlej. Cały plac Groswenor zawalony był herbownemi powozami i służącemi w świetną przybranemi liberyą. Ledwie zdołałeś utorować sobie drogę pośród atłasowych sukni i balowych fraków, najpiérwszą rzeczą która zwróciła twoją uwagę, był to stół gry, przy którym siedziała sławna hrabina, pani Dudlej i księżna głośna ze swoich miłostek i

szczęścia w faraonie i wiście. Żona kupca jaśniała kamieniami; przegrywała wiele podług swego zwyczaju, lecz jéj serce bijące z radości, jednego tylko doznawało uczucia, zadowolonéj pychy. — »W rzeczy saméj, mówiła hrabina, pani przegrywa z bardzo miłą grzecznością. —»Warta jest lepszégo szczęścia, przydała księżna zgarniając stosy gwineów.

—»A jednakże ze starego miasta Londynu, przydała hrabina, płyną do nas te skarby.

— »Ach! obmierzłe miejsce, nie wspominajcie mi o niém! odpowiadała pani Dudlej, nie wspominajcie o niém. Gdy mówiła te słowa, usłyszano hałas przy głównych drzwiach. Wielkie poruszenie nastąpiło między gośćmi. Człowiek źle ubrany, z kapeluszem na głowie, okryty kurzawą, wszedł albo raczej rzucił się i torując sobie drogę między odurzonym natłokiem, zatrzymał się dopiéro przy stole okrytym złotem,

gdzie siedziała pani Dudléj i jéj przyjaciółki; był to pan Dudléj; trzymał w ręku kawałek papieru i pokazał go żonie swojéj.

—»Widzisz waćpani, widzisz, zawołał chrapliwym i drżącym głosem, zniszczyłaś mię, zrujnowałaś! Tak jest, zrujnowałaś; zgubiłaś mój kredyt, moją reputacyą. Jestem zhańbionym człowiekiem. Piérwszy wexel podpisany *Henryk Dudléj*, a którego nie chciano przyjąć, pochodzi od ciebie. Tak jest, od waćpani; mówił daléj wstrząsając w ręku ten nieszczęsny wexel i nie zważając bynajmniéj na podziwienie które wzniecił w około siebie.

—»Mój mężu, panie Dudlej.... rzekła przestraszona kupcowa, nie wstając z krzesła. Cóż się stało? cóż ci jest? co mówisz?

—»Co mówię? żeś mię zniszczyła, zgubiła! Otworzyłem ci niezmierny kredyt u mojego bankiera; cóżeś z nim

zrobiła? coś z nim zrobiła? odpowiedz, odpowiedz!

—»Henryku! Henryku! Ach zmiłuj się, zmiłuj!

—»Zmiłować się? I nic mi nie odpowiadasz? Jakiém prawem kradniesz mi mój majątek, jakiém prawem wydzierasz mi mój honor, moje dobro, moje życie! Oto jest, ten zhańbiony, ten protestowany wexel. Imie moje jest na nim; twoje imie mościa pani, imie, które ci dałem, a które okrywasz niesławą. Nieszczęśliwa! pieniądze tak ciężko zarobione, owoc moich znojów, mojéj pracy, mojéj oszczędności, wszystko to zgubiła bezrozumna kobiéta.— Otóż stałem się celem obmowy na mieście! Kobiéta bez zasad i bez serca, zabija mię, uderza mię w tém co mam najdroższego. Przekleństwo! przekleństwo!

Muzyka ucichła, opuszczono stoliki gry, tańcujący rozeszli się z miejsc swoich; przerażenie panowało w tym świe-

tnym salonie, każdy się wynosił, a Dudléj z zapalonem okiem przyzywał na świadka słusznéj boleści swojéj, całe zgromadzenie przestraszone jego przybyciem i gniewem.

Summa 9,000 funtów szterlingów, którą wygrała hrabina, druga summa 4,000 funtów zaassygnowana do bankiera dla zaspokojenia coraz to mocniejszych nalegań tapicerów, modniarek i fabrykantów powozów, siedm tysięcy funtów dziś rano wzięte z kassy na wydatki balu i gry, wyczerpały kredyt pani Dudléj, a bankier zadziwiony takim niesłychanym wydatkiem, odmówił nareście dostarczania pieniędzy, i z tąd wynikł ów zaprotestowany wexel i tak gwałtowna rozpacz Dudleja gdy się o tém dowiedział. Był na wsi i czémprędzéj wrócił żeby zapłacić wexel, a potém przejęty gniewem i oburzeniem, dopuścił się gwałtownéj sceny, opisanéj powyżéj, któréj pobudki oceni każdy, kto zna jak wiele znaczy kredyt w kupiectwie.

—»Mościa pani, mówił daléj uniesiony wściekłością, dwadzieścia tysięcy funtów szterlingów w przeciągu dnia jednego! Cóżeś z niemi zrobiła?

Żona nie mogła mu odpowiedziéć, padła bez przytomności na ręce hrabiny. Rzucono się na jéj ratunek, i niepodobna opisać jaki zamęt i nieład nastąpił. Mąż wybiegł z domu jak szalony. Nazajutrz i dni następnych postępował jak człowiek pozbawiony rozumu. Przerażona jego wyobraźnia zwiększała ważność i skutek tego zdarzenia; rozumiał że już zbankrutuje. Mocne to rozdraźnienie nikogo nie zadziwi. Jakiekolwiek mogą bydź powody protestu wexlu na 14,000 f. sz. zdarzenie takie najokropniéj szkodzi kredytowi negocyanta.

Wówczas to wezwany byłem do pani Dudlej: mąż nie chciał jéj widziéć. Złość, wściekłość, obrażona próżność, przyprawiły ją o gorączkę nerwową i ledwie ją uratowałem. Bez ustanku

powtarzała w paroxyzmach, iż pomści się na mężu i że niesława którą ją okrył, spadnie na niego. Zdarzenie to bardzo się rozgłosiło, dzienniki pisały o téj gorszącéj scenie. Poradziłem pani Dudlej żeby na czas jaki wyjechała do wód, nie tyle dla zdrowia ile raczéj dla zyskania czasu, dopóki nie ucichną te przykre wieści. Wzięła z sobą nieszczęśliwą corkę, któréj czułość i delikatność tak okrutnie dotknęło postępowanie matki. Gdy odważyła się czynić chociażby najmniejsze postrzeżenie, doznawała najprzykrzejszego, najsroższego obejścia.

Przez miesiąc, matka i córka bawiły się u wód; zgorszenie ucichło i małżonkowie pogodzili się za pośrednictwem dwojga wspólnych przyjaciół.— Pani Dudlej ograniczyła się w wydatkach i zaniechała gry hazardownéj. Wkrótce odzyskała zaufanie męża. — Szczęście obsypało Dudleja nowemi darami. Był najznakomitszym nego-

15*

cyantem starego miasta. Mógłbył zostać lordem prezydentem, dyrektorem kompanii indyjskiej, członkiem Parlamentu, lecz wolał bydź prostym Henrykiem Dudléj, człowiekiem, którego słowo i podpis wzbudzały nieograniczone zaufanie. Trzeba go było widziéć przechadzającego się na giełdzie, w starym bronzowym surducie, z głową podniesioną do góry, z uśmiechem na ustach: była to godzina jego tryumfu i chwały. Wszyscy kłaniali mu się z uszanowaniem; za żadne tytuły i godności nie byłby zamienił tych hołdów. Szanowny i osobliwy wzór negocyanta angielskiego, zbiór cnoty, prawości duszy, trafności w spekulacyach, śmiałości w przedsięwzięciach i téj powagi, która zawsze następuje za niezawisłością bytu i uczuciem swojego znaczenia.

Corocznie wyprawiał wspaniałą ucztę swoim komissantom, ajentom i tym z któremi miał interesa. Z jakąż

radością i szczęściem zasiadał pośród tych swoich lenników! Wtedy w głośnych toastach sławiono jego chwałę i powtarzano jego imię. Przy końcu takiéj biesiady, w chwili gdy pan Dudlej dziękował przyjaciołom za toast wzniesiony na cześć jego, doniesiono mu iż ktoś czeka na niego w przedpokoju. Był to wysłaniec sławnego bankiera **** Szło o pożyczkę zaciągniętą dla obcego mocarstwa i wzywano pana Dudlej ażeby miał w niéj udział. Odurzony winem czy téż próżnością, negocyant nasz stracił w téj chwili zwyczajną przezorność, któréj był winien swój majatek. Przyjął bez namysłu, ofiarowane propozycye i wrócił do przyjaciół, którzy mu powinszowali głośnemi oklaskami. Nazajutrz wszystkie dzienniki pisały o téj ważnéj umowie. Iluż to zazdrościło Dudlejowi. Wkrótce wy jechać musiał na ląd stały dla doglądania tak wielkiego przedsięwzięcia i tam przez dwa miesiące zabawił.

Pani Dudlej pozostawszy sama, wróciła do zwykłych nałogów marnotrawstwa i gry, z tym większą mocą, że przez czas niejaki musiała się powściągnąć. Nie znała żadnych granic, a do tych wad przyłączyło się jeszcze pijaństwo. Jako lekarz domowy, nieraz byłem świadkiem obmierzłych scen, których jéj nieszczęśliwa córka była smutną ofiarą.

Młody Henryk Dudlej, jéj syn, naśladował a raczéj przewyższał matkę. Oboje na wyścigi trwonili pieniądze. — Pewnego razu matka z córką była sama w gabinecie. Bladość, pomieszanie i łzy téj młodéj osoby, wskazywały że przed chwilą zaszła między niemi gwałtowna sprzeczka. Matka pijana jak zwykle, leżała na sofie i gadała na zuchwalstwo córki, która chciała uczyć matkę jéj obowiązków; wtém chrapliwy głos dał się słyszéć na schodach. Henryk pijany wracał z rozpusty. — Wszedłszy do pokoju matki, zaczął

zuchwale upominać się o pieniądze. Pani Dudlej wyrzucała mu jego zbytki i oświadczyła że nic nie ma w kassie.

—»A więc zastawmy srebra! zawołał.

—»Srebra już są zastawione! krzyknęła matka z okropną gwałtownością.

W téj chwili, głuchy odgłos doszedł do ich ucha, drzwi na pół uchylone otworzyły się i jakieś ciało padło na ziemię. Nieszczęśliwy Dudlej wracając z podróży wszedł za śladem syna: Zatrzymał się przy drzwiach i usłyszał całą tę ohydną rozmowę matki z synem, któréj wszystkich szczegółów nie przytoczyliśmy nawet. Każde słowo przejęło go podziwieniem i rozpaczą. Nieszczęśliwy! ajent jego dał mu poznać zły stan jego interesów i marnotrawstwo pani Dudlej. Wielkie owe przedsięwzięcie nie powiodło się, przeszło sześćdziesiąt tysięcy funtów szterlingów stracił Dudlej. Widział przepaść otwierającą się pod jego stopami

i wracał powściągnąć zbytki pani Dudlej. Wyobraźmy sobie jego położenie, gdy ze zniszczoném zdrowiem i znękanym umysłem stanął przy drzwiach gabinetu, gdzie żona i syn zmawiali się na dopełnienie jego niesławy. Padł uderzony apoplexyą. Wezwano mię, zastałem tego nieszczęśliwego ojca, otoczonego służącemi i rodziną. Nigdy nie zapomnę o téj scenie!

Pani Dudlej i jéj syn wytrzeźwieli, obecność ojca i męża wypędziła dymy wina. Dudlej w głęboki wpadłszy letarg, nieczuły, rozciągnięty na łóżku, chrapał niezmiernie; żona jego zemdlona leżała na kobiercu; Henryk klęcząc przy łóżku, z oczyma wlepionemi w to szanowne oblicze, okrywał ojca łzami i całowaniem. Panna Dudlej, blada jak marmurowy posąg, opierała się o łóżko; jéj oczy były przygasłe i prawie obłąkane.

Oto jest nieszczęście! oto jest żal!

Obfite puszczenie krwi przyniosło ulgę ojcu. Dwa tygodnie upłynęły, i w ich przeciągu prędzéj nad spodziewanie odzyskał siły. Byłem obecny pojednaniu, jeźli tak nazwać można wspaniałomyślne przebaczenie występnéj żonie i synowi. Wszystko wróciło do zwykłego trybu życia. Lecz już cios był zadany, upadek czekał biédnego negocyanta. W téj właśnie chwili, gdy zawikłane jego interesa wymągały jak największéj bystrości, osłabnął jego umysł. Chciał wszystko spieniężyć, nieuważnie, ze stratą, za jakąbądź cenę. Trzy czwarte majątku który mu jeszcze pozostawał, poświęcił dla zebrania gotowizny, któréj potrzebę przesadzał w oczach swoich.— Wkrótce zdziwiło negocyantów jego postępowanie; już to odrzucał najlepszą spekulacyą, już to rzucał się w jak najwątpliwszą, w najgorszą. Ograniczywszy jak najściślej wydatki swoje, przedał pałace, żył jak za młodu, nie

narzekając, nie dziwiąc się tą zmianą, i znowu powrócił do téj pracowitéj regularności, która była początkiem jego majątku. Panna Dudlej zagrożona piersiową chorobą, pocieszała matkę, miotaną zgryzotami sumienia. Co się dotycze jéj ojca, apoplexya okropny skutek wywarła na nim. Był wcale innym człowiekiem.

Połóż kulkę na pochyłéj desce, będzie toczyć się i nic jéj nie zatrzyma, a spadek będzie tém szybszy, im wyżéj będzie punkt wyruszenia, a im cięższe ciało. Niestety! majątek biednego Dudleja doznał tego spadku. Olbrzymie to bogactwo narażone przez piérwszą nieroztropność, nadwerężone przez zbytki żony i ciąg złych spekulacyj, wstrząśnione przez osłabienie umysłu naczelnika domu, znikło jak marzenie senne. Wkrótce dowiedziano się, iż sam tylko kredyt utrzymywał go jeszcze, że w pustéj jego kassie nic nie było prócz jego własnych wexlów. Wszystko skoń-

czyło się wówczas. Nikt nie chciał pożyczyć Dudlejowi, był zgubionym człowiekiem!

Pozostał mu jeden jeszcze zasiłek: umieścił na hypotece w pierwszych latach swego powodzenia, przeszło sześćdziesiąt funtów szterlingów. Naglony potrzebą, przedał swoje zapisy hypoteczne. Lecz, któżby temu uwierzył, zapisy te nie miały żadnéj wartości. Plenipotent Dudleja, oszust z rzemiosła, zniósł się z właścicielem dóbr zadłużonych i sporządził nieformalne zapisy. Dudlej wytoczył dwie sprawy, jednę o wartość hypoteki, i tę przegrał; drugą przeciw swemu pełnomocnikowi, którą wygrał i która oskarżonego okryła sromotą; przekonał go że jest oszustem, lecz nie odzyskał summ, które przez to oszustwo był postradał. I owszem, wygrana ta sprawa, była dla nieszczęśliwego negocyanta powodem ciężkich zmartwień. W ciągu długiego związku z Dudle-

jem, człowiek ten przeniknął wszystkie jego tajemnice i poznał wszystkie jego spekulacye; korzystał z tego, dla zaszkodzenia honorowi negocyanta; rzucił podejrzenie na najczystsze tranzakcye; wystawił jako lichwę i nieprawe monopolium, środki wspomniane powyżéj, a które przyłożyły się do majątku Dudleja. Młody adwokat, uradowany że gorsząca okoliczność podaje mu sposobność popisania się z wymową, zaczernił jeszcze bardziéj ten kłamliwy obraz. Nie zaniósł żadnéj stanowczéj skargi, lecz rzucił podejrzenie występku, skazówki nie oznaczone, domniemania tém niebezpieczniejsze, iż otwierały pole do wszelkich domysłów. Podwójny upadek obarczył nieszczęśliwego. Oszust ukrył źle nabyty majątek, uniknął kar wymierzonych przeciw niemu i uciekł za granicę. Dzienniki powtarzały kłamstwa i zarzuty adwokata. Dudlej nie miał żadnego sposobu zaspokojenia najprzy-

krzejszych wierzycieli; większa ich część ulitowała się nad losem negocycyta, którego znana rzetelność wzbudzała szacunek. Przystali na układ, lecz jeden z nich, krewny pełnomocnika nie chciał zgodzić się, umyślił pomścić się za swego krewnego i wyjednał przeciw Dudlejowi nieszczęsny wyrok upadłości; a bankructwo sławnego negocyanta, człowieka który przed pół rokiem posiadał nieograniczony kredyt, zostało ogłoszone.

Od czasu gdy mu doniesono tę okropną wiadomość, osłupiał i ani słowa nie wyrzekł. Bladość śmiertelna okryła twarz jego; pięć lub sześć razy przeszedł się po pokoju, uderzając ręką w czoło, potém popchnął drzwi i z pośpiechem wyszedł, powtarzając z goryczą: »Bankrut! Bankrut! Cóż powiedzą na giełdzie!

Córka poszła za nim do poblizkiego pokoju; tam zaczęła się między niemi rozmowa, o któréj nigdy nie zapomnę.

Ojciec usiadł, a córka rzuciła się w jego objęcia.

—»Cóż ci to jest, kochanku? cóż ci jest?

Posadził ją kolanach i głaskał ręką blade czoło i jasne włosy dziewczyny.

—»Cóżeś zrobiła Aguieszko? zapomniałaś uczesać włosy; trzeba żebyś była bardziéj zalotną. Czemuż ich nie zwinęłaś? Lecz są wilgotne, cóż ci to?

Łkania odbierały jéj dech, z konwulsyjném drżeniem uścisnęła ojca.

—»O mój ojcze! o mój ukochany ojcze! kocham cię bardziej, sto razy więcéj niżeli wprzódy!

Ojciec płakał. —»Mój aniele! zawołał, i oboje milczeli przez kwadrans.

—»Młoda jesteś Agnieszko, możesz bydź szczęśliwą; lecz ja jestem starém drzewem, burza mię obaliła, już się wszystko skończyło. Nic nie od-

powiadała, lecz coraz mocniej tuliła się do ojca.

—»Agnieszko, czy chcesz zostać ze mną teraz, gdy jestem żebrakiem, czy chcesz? Mogę cię jeszcze kochać, lecz na tém koniec. I wlepiał w nią obłąkane oczy. Zamilkli znowu, wstał i przechadzał się po pokoju.

—»Agnieszko! jestem bankrutem! do tego nareście przyszedłem! Nad tobą płaczę. Ach! mój Boże, cóż się stanie z tobą? Niestety! byłem nieszczęśliwym nie zaś występnym! może to uznają i nie powiedzą żem był oszustem.

—»Nie, zaiste, mój ojcze: twój honor został nieskażony.

—»Czyliż tak będą sądzić na giełdzie? i to mię rani.

—»No, mój ojcze, uspokój się, gdy przeminie ta chwila przeciwności, jeszcze będziemy mogli bydź szczęśliwi!

—»Czyliż zdołam to uczynić, moja córko? Czyliż zniesiesz ubogie życie?

16*

Pójdźmy do sali, zagrasz mi ulubioną moją aryą.

Usiadła przy fortepianie, ojciec stał przy niéj.

—»Nie sprzedamy tego instrumentu; cóż myślisz moja córko? Uczyniemy co będzie można żeby go ocalić. Agnieszka nic nie odpowiadając, grała aryą szkocką, którą jéj ojciec tak lubił.— Łzy padały z jéj oczu na klawisze.

—»Śpiéwaj moje dziécię, rzekł do niéj ojciec; lubię także wyrazy téj aryi: *Daj mi wszystko coś mi winien.*

Grała daléj bez taktu, nie otwierając ust.

—»No, musisz śpiéwać Agnieszko.

—»Nie mogę, odpowiedziała po cichu.... brat mój!

Padła bez zmysłów; musiano ją rozebrać; znaleziono list w jéj zanadrzu. Był to list jéj brata z doniesieniem, że wyjeżdża do Ameryki. Ostateczny śmiertelny cios uderzył nieszczęśliwego ojca. Jego żona pogrążona w zupełném odrę-

twieniu umysłu, umarła w przeciągu roku.

Liczni wierzyciele Henryka Dudlej, rozgniewani że im uciekła ich zdobycz, znowu osławili w dziennikach nazwisko téj rodziny. Konsumcya zwolna trawiąca biédną Agnieszkę, czyniła widoczne postępy. Ułożono bilans Dudleja, a zgromadzenie ajentów handlowych, z których jednego był pozwał przed trybunał, obeszło się z nim jak najokrutniéj. Największy jego nieprzyjaciel był mianowany syndykiem upadłości. Nie miał najmniejszego wyrozumienia dla zubożałego kupca i bez zgryzoty, bez litości, wydarł mu ostatnie szczątki majątku. Korzystał z przepisów prawa dla dokuczenia téj nieszczęśliwéj rodzinie. Resztę meblów i sprzętów potrzebnych umierającéj córce, sprzedał bez miłosierddzia. Dudlej znękany do ostatka, nie stawiał oporu; dozwalał czynić wszystko, jak trup który nie drży pod ciosem co go uderzył.

Raz tylko, gdy sprzedawano fortepian, schwycił rękę syndyka i przytłumionym głosem, prawie niewyraźnym, rzekł:

»Mości panie, jestem biednym starcem; nikt nie staje w mojéj obronie; bez tego nie śmiałbyś tak obchodzić się ze mną.«

Wyszedł zalany łzami.— Inni wierzyciele powodowani tą wspaniałomyślną litością, która nie jest rzadką u negocyantów angielskich; otworzyli składkę na korzyść nieszczęśliwego kupca: dostał trzy tysiące funtów szterlingów i za ten kapitał założył w Chelsea handel węgli kopalnych. Tam żył ubogo, w domu bardzo porządnym, o jednem piętrze, przed którém rosło kilka topoli.

Widziano, jak bogaty i sławny pan Dudlej, w tém pomieszkaniu tak ubogiém doglądał długiego konania córki. On tylko sam jéj usługiwał, podawał lekarstwa i przepędzał przy niéj bezsen-

ne noce. Umarła na jego ręku, a nazajutrz wyczytałem w gazetach, że stary jegomość (jak go nazywano) rzucił się w Tamizę, i że przypisano ten czyn rozpaczy, stracie córki i majątku.

Pośpieszyłem do Dudleja, gdyż nigdy nie spuszczałem go z oka; uratowano go, lecz biédny wpadł w zupełną bezwładność umysłu. Umieszczono go w domu zdrowia, gdzie doznaje jak najlepszego obchodzenia.

W chwili, gdy opisuję to zdarzenie, pan Dudlej jeszcze żyje, albo raczéj umiera powoli; widziéć go można codziennie, siedzącego pod starym wiązem, jego ulubioném drzewem, z oczyma wlepionemi w ziemię i powtarzającego kiedy niekiedy: *Agnieszko! moje dziécię!*

KONIEC CZYTAŃ PRZYJEMNYCH Z R. 1838.

SPIS PRZEEDMIOTOW.